

Kupiec Wenecki

William Shakespeare



calibre 0.9.27

KUPIEC WENECKI

William Shakespeare

Przekład Józefa Paszkowskiego.

OSOBY:

DOŻA wenecki.

KSIĄŻĘ MARAKOŃSKI, ubiegający się o rękę Porcyi

KSIĄŻĘ ARAGOŃSKI, ubiegający się o rękę Porcyi

ANTONIO, kupiec wenecki.

BASSANIO, jego przyjaciel.

SOLANIO przyjaciel Antonia.

SALARINO przyjaciel Antonia.

GRACYANO przyjaciel Antonia.

LORENCO, kochanek Jessyki.

SZAJLOK, żyd.

TUBAL, żyd, jego przyjaciel.

LANCELOT GOBBO, sługa Szajloka.

STARY GOBBO, ojciec Lancelota.

SOLERYO, posłaniec z Wenecyi.

BALTAZAR sługa Porcyi

STEFANO sługa Porcyi

LEONARDO, służący Bassania.

PORCYA, bogata dziedziczka.

NERYSSA, jej powiernica.

JESSYKA, córka Szajloka.

Senatorowie weneccy, urzędnicy sądowi, dozorczy więzienia, słudzy i inne osoby.

Rzecz dzieje się częścią w Wenecyi, częścią w Belmont, majątku Porcyi na stałym lądzie.

AKT PIERWSZY.

Scena pierwsza.

Wenecya. Ulica.

Wchodzą: ANTONIO, SALARINO i Solanio.

ANTONIO.

W istocie, nie wiem, dlaczego tak smutny.

Już mam dość tego, i wy też podobno.

Lecz skąd to przyszło, jakem w ten stan popadł,

Co on ma znaczyć, z czego powstał, jestto

Dla mnie zagadką. Bądź jak bądź, takiego

Smutek ten robi ze mnie niedołągę,

Że sam zaledwie mogę siebie poznać.

SALARINO.

Umysł twój błąka się po oceanie,

Gdzie twe galery, dumnie prężąc żagle,

Niby bogaci fał obywatele,

Albo reprezentanci władców morza,

Z góry na drobny lud kupiecki patrz

Który je wita, skłania się przed niemi

Z uszanowaniem, gdy tkanemi skrzydły

Ciągną opodał.

SOLANIO.

Wierzaj mi, że gdybym

Na grę hazardu tyle co ty stawił,

Ciągleby myśli moje żeglowały

W trop mych nadziei; wciążbym zrywał trawę,

By się przekonać o kierunku wiatru;

Siedziałbym w mapach, dukwiąc nad śledzeniem

Zatok, przystani i portów: i wszystko,

Coby mi mogło nasuwać obawę

O moje statki, niewątpliwieby mię

W smutek wprawiało.

SALARINO.

Wiatr, którybym czynił,

Dmuchał w zupę, aby ją ostudzić,

Nabawiłby mię febrycznego dreszczu,

Skorobym przytem pomyślał, jak zgubnym

Silny wiatr bywa na morzu. Ilekroć

Widziałbym piasek ciekący z klepsydry,

Tylekroćby mi przychodziły na myśl

Płytkie mielizny i ławy piaszczyste,

I trwożnym oczom mojej wyobraźni

Przedstawiałby się mój bogaty Argo

Ugrzęzły w piasku, zwieszający głowę

Do żeber, jakby chciał swój grób całować.

Mógłżebym, idąc do kościoła, spojrzeć

Na ten gmach święty, wzniesiony z kamienia,

I nie pomyśleć natychmiast o rafach,

Które drasnąwszy tylko bok mej nawy,

Wnetby z niej w morze wysypały wszystkie

Moje korzenie i ryczące fale

Ubrały w moje bławaty. Tak łatwo

Mogłoby w niwecz pójść to, co przed chwilą

Tak było cennem. I mamie mieć władze

Myślenia zdolne do myślenia o tem,

A nie pomyśleć, że taki wypadek

Pograżyłyby mię w smutku? Co tu gadać:

Ja przekonany jestem, że, Antonio

Smuci się, myśląc o swoich towarach.

Antonio. Wierzcie mi, nic dlatego; dzięki szczęściu,

Widoki moje nie są przywiązane

Ani wyłącznie do jednego statku,

Ani wyłącznie do jednego miejsca,

Ani też mienie moje nie zawisło

Od powodzenia w tym jedynie roku:

Smutek mój nie ma więc związku z mym handlem.

Solanio. Jesteś więc zakochany?

ANTONIO.

Fuj! fuj!

SOLANIO.

Jakto?

Nie zakochany? smutnyś więc dlatego,

Żeś nie wesoły; mógłbyś z równą racyą

Śmiać się i skakać, mówić, żeś wesoły,

Boś nie jest smutny. W imię dwugłowego

Bożka Janusa! natura wydaje

Szczególniejszego rodzaju dziwadta:

Jedni się zawsze mizdrzą i gotowi

Z kobziarza nawet śmiać się do rozpuku;

A inni mają w sobie tyle kwasu,

Że ust nie nagną do uśmiechu, choćby

Sam Nestor przysiągł, że się warto rozśmiać.

Wchodzą: BASSANIO, LORENCO i GRACYANO.

SALARINO.

Oto BASSANIO, twój przezacny krewny,

Gracyano i Lorenzo. Do widzenia:

Zostawiamy cię w lepszym towarzystwie.

SOLANIO.

Byłbym był z tobą pozostał tak długo,

Ażbym był chmurę spędził z twego czoła,

Gdyby mię byli nie przyszli wyręczyć

Godniejsi przyjaciele.

ANTONIO.

Wasza wartość

Wysoko stoi w mojem poważaniu.

Przypuszczam, że was naglą interesy,

I że chwyacie pretekst, aby odejść.

SALARINO.

Dzień dobry, mili panowie.

BASSANIO.

Nawzajem.

Kiedyż się znowu śmiać będziem ? Powiedzcie.

Rzadkie z was ptaki: czy zawsze tak będzie?

SALARINO.

W wolniejszym czasie będziem wam służyli.

SALARINO i SOLANIO odchodzą.

LORENCO.

Bassanio, skoro znalazłeś Antonia,

To cię żegnamy. Pomnij tylko, proszę,

Że masz jeść z nami obiad.

BASSANIO.

Liczcie na to.

GRACYANO.

Signor Antonio, źle nam coś wyglądasz.

Za seryo na świat patrzysz; kto się nazbyt

Troszczy o niego, ten go sobie zraża.

Bardzoś się zmienił, wierzaj.

ANTONIO.

Świat jest dla mniebr> Poprostu światem, kochany Gracyano,

Sceną, na której się gra jakąś rolę:

Moja jest smutną.

GRACYANO.

Ja zaś wolę na niej

Odgrywać rolę śmieszka: niech mi czoło

Pokryją zmarszczki od pustot i śmiechu,

I niech mi raczej pierś pała od wina,

Niżby mi miały serce mrozić jęki.

Potrzebaż aby człowiek z krwią gorącą,

Siedział jak dziadek kuty z alabastru?

Spał, kiedy czuwa, i w złotaczkę wpadał

Od tetryczności? Posłuchaj, Antonio;

Kocham cię, przyjaźń mówi przez me usta:

Jest rodzaj ludzi, których twarz przybiera

Pewną powłokę, jak woda w kałuży;

Którzy z umysłu milczą, chcąc uchodzić

Za wzór mądrości, wiedzy i powagi,

Jakby mówili: "Ja jestem wyrocznią,

A gdy otworzę usta, wara wtedy

Musze przelecieć". O tak, mój Antonio:

Znam ludzi, którzy mają reputację

Głęboko mądrych, dlatego jedynie,

Że nigdy, nic nie mówią; którzy mówiąc,

Na potępienie skazaliby pewnie

Swoich słuchaczy, bo ci by zgrzeszyli

Mianując, swoich bliźnich półgłówkami,

Powiem ci o tem więcej inną razą;

A teraz, proszę cię, zaniechaj łowić

Takie piskorze, obłądnej opinii.

Idźmy, Lorenzo. Bądź zdrów i krzep serce:

Skończę egzortę moją po wyżerce.

LORENCO.

Zobaczym się więc w porze obiadowej.

Muszę być jednym z owych niemych mędrców,

Bo mi Gracyano nigdy nie da mówić.

GRACYANO.

Żyj jeno ze mną przez parę lat jeszcze,

A dźwięku głosu własnego zapomnisz.

ANTONIO.

Bywajcie zdrowi! Dla miłości waszej

Stanę się z czasem gadułą.

GRACYANO.

Tak uczyn.

Milczenie bowiem zaleca jedynie

Ozór w pęcherzu i skromność w dziewczynie.

Odchodzi z Lorencem.

ANTONIO.

Czy był w tem jaki sens? powiedz.

BASSANIO.

Gracyano

Ma nieskończony zapas czczych wyrazów,

Więcej niżeli ktokolwiek w Wenecyi.

Rozsądne jego zdania w masie bredni

Są jak dwa ziarna pszeniczne, w dwóch korcach

Plew utajone: szukasz ich dzień cały,

Zanim je znajdziesz, a gdy znajdziesz, korzyść

Nie wynagradza trudu.

ANTONIO.

Dobrze mówisz.

A teraz, powiedz mi, co to za dama,

Do której odbyć pielgrzymkę zamierzasz?

Miałeś dziś ze mną mówić w tym przedmiocie.

BASSANIO.

Nie jest ci obcem, Antonio, jak bardzo

Nadwyreżyłem kredyt mój i mienie,

Żyjąc wystawniej, niż mi na to moje

Ograniczone środki pozwalały.

Nie utyskuję nad tem, że zmuszony

Wysoką stopę zredukować; o to

Mi tylko idzie, jakbym mógł uczciwie

Wybrnąć z tych długów, w które mię pogrążył

Dotychczasowy za pański tryb życia.

Tobie, Antonio, winienem najwięcej,

Bom ci jest dłużny pieniądze i przyjaźń:

Twoja zaś przyjaźń pozwala mi śmiało

Wywnętrzyć wszystkie myśli me i plany,

W których spełnieniu leży możność spłaty

Wszystkich mych długów.

ANTONIO.

Mów, mów, mój Bassanio.

Jeżeli, o czym, znając cię, nie wątpię,

Zamiary twoje są zgodne z honorem,

Mieszek mój, moja osoba, i wszystko

Czem rozporządzam, jest na twe usługi.

BASSANIO.

Za szkolnych czasów, gdym uronił strzałę,

Puszczałem drugą, takiej samej miary,

Tą samą drogą; lecz z większą uwagą,

By tamtą znaleźć, i waząc obiedwie,

Obiedwie często znajdowałem. Przykład

Ten z lat dziecinnych przewodzęć dlatego,

Że to, co powiem, jest równie niewinnem.

Kredytowałeś mi wiele, i wszystko

Coś mi pożyczył, marnie utraciłem;

Jeżeli jednak zechcesz jeszcze jedną

Strzałę wypuścić w tym samym kierunku,

W którym poprzednia poszła, to nie wątpię, -

Ze albo znajdę obiedwie u mety,

Albo ci zwrócę niebawem w całości

Ową powtórnie zaryzykowaną,

Wdzięcznie za pierwszą pozostając dłużnym.

ANTONIO.

Znasz mię i tracisz tylko czas napróżno,

Krętą przemową obchodząc mą przyjaźń.

Pochopną moją chęć przyjscia ci w pomoc

W stanowczej chwili podając w wątpliwość,

Większą zaiste krzywdę mi wyrządzasz,

Niż żebyś wydał wszystko, co posiadam.

Powiedz mi zatem tylko, co mam czynić,

Co się, twem zdaniem, przezemnie stać może,

A znajdziesz k'temu mię gotowym: mów więc.

BASSANIO.

Jest w Belmont młoda, bogata dziedziczka

I piękna, piękna nad wszelkie wyrazy;

Rzadkich przymiotów, nierazem otrzymał

Z jej oczu słodką, milczącą przesyłkę.

Zowie się Porcyą, nie tylko imieniem

Ale i sercem podobna do owej

Córy Katona, Brutusowej Porcyi. Świat też wartości jej nie jest nieświadom,

Bo wszystkie cztery wiatry ze wszech krańców

Stałego lądu sprowadzają do niej

Niepospolitych zalotników. Świetne

Promienie włosów wiszą u jej czoła

Jak złote runo, czyniąc Belmont, miejsce

Jej zamieszkania, krainą Kolchidy.

Nie jeden Jazon kusi też się o nią.

O! mój Antonio, gdybym tylko w ręku

Miał środki do współzawodnictwa z nimi,

Coś mi pochlebnie w duszy przepowiada,

Że niezawodniebym szczęśliwym został.

ANTONIO.

Mienie me całe jest, jak wiesz, na morzu;

Nie mam gotówki, ani źródeł, z których

Znaczniejszą sumę terazbym mógł podnieść:

Idź więc i spróbuj, co mój kredyt zdoła.

Wyciągnę go jak strunę, byś mógł w Belmont,

Przed piękną Porcyą godnie się pokazać.

Idź zaraz, pytaj, ktoby miał pieniądze

Do pożyczania: ja toż samo zrobię.

Nie wątpię, że ich z łatwością dostaniem

Za mą poręką i wspólnem staraniem.

Wychodzą.

Scena druga.

Belmont. Pokój w zamku Porcyi.

PORCYA i NERYSSA.

PORCYA.

Tak, Nerysso, moje maluczkie ja znudzone już tym wielkim światem.

NERYSSA.

Mogłoby to być, pani, gdyby cię był los upośledził tak szczerze, jak cię uposażył. A przecież, nieraz to widzę, że tym, co opływają we wszystko, równie źle bywa na świecie jak tym, co marnieją z niedostatku. Niepomierne to więc szczęście żyć w mierności; nadmiar wcześniej dostaje białych włosów i krócej żyje niż dostatność.

PORCYA.

Dobry to argument i dobrze wyłożony.

NERYSSA.

Dobrze wykonany byłby lepszym.

PORCYA.

Gdyby czynić dobrze tak było łatwo, jak wiedzieć, co jest dobrem, kaplice zamieniłyby się w kościoły, a chaty biedaków w pałace. Ten jest dobrym kaznodzieją, co postępuje według własnych przestroóg; jabyłm prędzej dwudziestu osobom wskazała, co byłoby dobrze zrobić, niż poszła za własną wskazówką, będąc jedną z tych dwudziestu. Niech mózg dyktuje krwi, jakie chce prawa, gorący temperament przeskoczy zimne nakazy. Młodość-szał, jak zając, jednym susem przesadza się moralu kaleki. Ależ to rozumowanie nie doprowadzi mię do wyboru męża. Wyboru! Jak czczym jest dla mnie ten wyraz! Nie mogę ani wybrać tego, kogobym chciała, ani odrzucić kogoś, coby mi się nie podobał; tak dalece wola żyjącej matki skrepowana jest wolą zmarłego ojca. Nie smutneż-to położenie, Nerysso, nie móżdż ani wybrać sobie kogoś ani odrzucić?

NERYSSA.

Ojciec pani był wypróbowanej cnoty człowiek, a bogobojni ludzie miewają przy śmierci dobre natchnienia; nie można więc wątpić, że w tej loteryi, którą wymyślił z trzema skrzynkami, złotą, srebrną i ołowianą, z pomiędzy których wybierający właściwie ciebie, pani, ma posiąść, że mówię, w tej loteryi nie kto inny będzie szczęśliwy, jak ten, którego pani kochać będziesz, bo będzie godnym twej miłości. Ale jakież stopień skłonności czujesz pani w sobie do tych książąt, którzy już przybyli ubiegać się o ciebie?

PORCYA.

Wymień ich, proszę; w miarę jak ich wymieniać będziesz, starać się będę ich opisać, a z opisu mego będziesz mogła wyprowadzić wnioski o mej skłonności.

NERYSSA.

A więc naprzód stawię neapolitańskiego księcia.

PORCYA

To młode źrebię: o niczem nie mówi tylko o swym koniu i ma to sobie za wielką zasługę, że go sam umie podkuwać. Boję się, czy jego matka nie zapatrzyła się za bardzo na kowala.

NERYSSA.

Dalej idzie hrabia Palatyn.

PORCYA.

Ten umie tylko brwi marszczyć, jakby chciał mówić: "jeżeli mię nie chcesz, to się obejdę". Słucha zakazanych powieści i ani razu się nic uśmiechnie. Pewnie z niego będzie na starość płaczliwy filozof, kiedy za młodu tak nietowarzysko jest ponury. Wolałabym być poślubioną trupiej głowie, niż jednemu z tych dwóch. Uchowaj mię od nich, panie!

NERYSSA.

Cóż pani powiesz o tym francuskim markizie, monsieur Le Bon ?

PORCYA.

Bóg go stworzył jak innych ludzi; godzi się więc uważać go za człowieka, Wiem zaiste, że to grzech, sztydzić z bliźniego: ależ ten! Ma on wprawdzie konia lepszego niż Neapolitańczyk i lepszy zły zwyczaj marszczenia czoła, niż hrabia Palatyn; on jest wszystkim i niczem. Gdy drozd zaśpiewa, on zaraz wyprawia kapryole; gotów się fechtować z własnym cieniem. Gdybym poszła za niego, dostałabym naraz dwudziestu mężów; gdyby mną pogardzał, przebaczyłabym mu: lecz choćby mię kochał do szaleństwa, nigdybym mu nie była wzajemną.

NERYSSA.

Cóżbyś też pani powiedziała o tym młodym angielskim baronie?

PORCYA.

Wiesz, że z nim nigdy nie mówię, bo ani on mnie nie rozumie, ani ja jego. Nie umie ani po łacinie, ani po francusku, ani po włosku; a że ja za grosz angielszczyzny nie posiadam, natobym śmiało mogła przysiąc w sądzie. Wygląda on na przyzwoitego człowieka, ależ niestety! któż się rozmówi z niemą figurą? Jak dziwnie się ubiera! Zdaje mi się, że kaftan jego z Włoch pochodzi, pantaloney z Francyi, czapka z Niemiec, a maniery ze wszystkich stron świata.

NERYSSA.

Jakież pani zdanie o tym szkockim lordzie, jego sąsiedzie?

PORCYA.

To, że jest pełnyrn sąsiedzkiej uprzejmości. Pożyczył raz od Anglika policzek i przysiągł, że mu odda, jak będzie mógł; Francuz był podobno jego przyjacielem i podpisał się za niego.

NERYSSA.

Jakże się pani podoba ten młody Niemiec, synowiec księcia saskiego ?

PORCYA.

Nieznośny z rana, kiedy trzeźwy; a jeszcze nieznośniejszy w wieczór, kiedy ma w głowie. Kiedy

się najlepiej przedstawia, wtedy się wydaje trochęgorzej niż człowiek; a kiedy się przedstawia najgorzej, wydaje się trochę lepiej niż zwierzę. Niech mięco najgorszego spotka, od niego przynajmniej uda mi się wykręcić, mam nadzieję.

NERYSSA.

Jeżeli jednak zechce wybierać i wybierze szczęśliwą skrzynkę, w takim razie wzbroniałabyś się pani spełnić wolę ojca, gdybyś go przyjąć nie chciała.

PORCYA.

Z obawy, aby się to nie stało, proszę cię, wsadź w niepomyślną skrzynkę sporą butelkę reńskiego wina, bo choćby szatan w innej siedział, a tej pokusy brakowało, gotówby inną wybrać.

NERYSSA.

Nie masz pani potrzeby obawiać się tych adonisów: żadnemu z nich się nie dostaniesz. Objawili mi oni swe postanowienie, którego treścią jest, iż wracają do domu i zalotami swymi naprzykrzą ci się dłużej nie będą, chyba w takim razie, gdyby mogli pozyskać panię w inny sposób, a nie według woli jej ojca, za pośrednictwem tych skrzynek.

PORCYA.

Choćbym tak długo żyła jak Sybilla, umrę tak czystą jak Dyana, jeślibym nie oddała ręki zgodnie z życzeniem mego ojca. Bardzo mi rada, że to grono aspirantów tak rozsądnie chce sobie postąpić, bo niema między nimi ani jednego, którego bym nieobecności najserdeczniej nie pragnęła, i prosić będę Boga, aby im dał szczęśliwą podróż.

NERYSSA.

Nie przypominaszże sobie pani pewnego Wenecyanina, oficera, literata, który tu był z markizem Montferratu, jeszcze za życia twego ojca?

PORCYA.

I owszem, to był Bassanio, zdaje mi się, że tak się nazywał?

NERYSSA.

W istocie, tak. Ze wszystkich mężczyzn, których moje głupie oczy kiedykolwiek widziały, najgodniejszym posiadania pięknej kobiety ten mi się wydał.

PORCYA.

Przypominam go sobie i przypominam sobie, że zasługuje na twoją pochwałę.

Wchodzi służący.

Cóż tam? co nam powiesz?

SŁUŻĄCY.

Owi czterej cudzoziemcy czekają na panię, chcąc ją pożegnać. Jest tam także goniec od piątego, od marokańskiego księcia, który przyniósł wiadomość, że jego pan na noc tu zjedzie.

PORCYA.

Gdybym mogła tego piątego powitać z tak lekkim sercem, z jakim tamtych czterech idę pożegnać, cieszyłabym się z jego przybycia. Jeżeli maświęty umysł a naturę szatańską, tobym go wolała na spowiednika niż na zalotnika. Pójdź, Nerysso. Ledwie zamkniemy bramę za jednym konkurentem, jużci drugi do niej kołacze.

Wychodzą.

Scena trzecia.

Wenecya. Płac publiczny.

Wchodzą BASSANIO i SZAJLOK.

SZAJLOK.

Trzy tysiące dukatów, dobrze.

BASSANIO.

Tak jest, na trzy miesiące.

SZAJLOK.

Na trzy miesiące, dobrze,

BASSANIO.

Antonio, jak mówiłem, będzie poręczycielem.

SZAJLOK.

Antonio poręczycielem, dobrze.

BASSANIO.

Możesz mi wygodzić? Chcesz mięzobowiązać? Mamże liczyć na ciebie?

SZAJLOK.

Trzy tysiące dukatów, na trzy miesiące i Antonio poręczycielem.

BASSANIO.

Jakaż twoja odpowiedź?

SZAJLOK.

Antonio, dobry.

BASSANIO.

Słyszałeś co nasuwającego przeciwne zdanie?

SZAJLOK.

Aj, nie, nie, nie. Kiedy mówię: dobry, to chcę dać do zrozumienia, że jego podpis wystarcza. Ale jego odpowiedzialność jest w kwestyi. Wysłał jedną galerę do Tripolis, drugą do Indyi; słyszałem także na Rialto że ma trzecią na wodach w Meksyku, a czwartą w drodze do Anglii; i inne jeszcze transporty w różne strony rozrzucone. Ale okręty to deski, majtkowie, ludzie; są szczury ziemne i szczury wodne; złodzieje ziemne i złodzieje wodne, to jest korsarze; a potem mamy hazard bałwanów, wiatrów i skał. Jakożkolwiek bądź, człowiek ten wystarcza. Trzy tysiące dukatów! Zdaje mi się, że mogę przyjąć jego poręczenie.

BASSANIO.

Możesz bezpiecznie to uczynić.

SZAJLOK.

Chcę to uczynić bezpiecznie i żebym mógł być ubezpieczony, muszę się namyślić. Czy mogę się widzieć z Antonim?

BASSANIO.

Jeżeli zechcesz podzielić z nami obiad.

SZAJLOK.

Tak, żebym wachał świninę; żebym pożywał strawę tam, gdzie wasz prorok, Nazareńczyk, wywoływał czarta. Gotów jestem z wami mieć stosunki i rachunki, układać się i gadać, ale jeść z wami, pić z wami i modlić się z wami, nigdy. Cóż tam słychać na Rialto? Któżto się tu zbliża?

Wchodzi Antonio

BASSANIO,

To signor Antonio.

SZAJLOK *do siebie.*

Jak ma chytrego celnika oblicze!

Nienawidzę go, bo jest chrześcijaninem,

Lecz bardziej jeszcze za to, że z nikczemnej

Prostoduszności darmo borgi daje

I nam tu stopę procentów obniża.

Gdybym mu kiedy mógł pomagać zeber,

Dawna ma niechęć ulgiby doznała.

On gardzi moim ludem i publicznie

Na posiedzeniach kupieckich szkaluje

Mnie, moje sprawy i uczciwe zyski,

Mieniać je lichwą. Niech będzie przeklętym

Mój ród, jeżeli kiedy mu przebaczę.

BASSANIO.

I cóż, Szajloku?

SZAJLOK.

Obliczyłem w głowie

Moje obecne zasoby i widzę

Z przecięciowego mniej więcej bilansu,

Że niepodobna mi będzie na teraz

Zebrać okrągłej sumy trzech tysięcy

Dukatów. Ale nic to nie stanowi:

Tubal, zamożny jeden z Izraela,

Przyjdzie mi w pomoc. Na ileż miesięcy

Żądacie? *Do Antonia*. Witam was, wielmożny panie;

O waszej cześci była właśnie mowa.

ANTONIO.

Szajloku, lubo ani wypożyczam,

Ani pożyczam gwoli brania albo

Wygórowanych dawania procentów,

Gotówem jednak złamać ten obyczaj

Dla przyjaciela w naglącej potrzebie. *Do Bassania*.

Czy wie on, ile ci trzeba?

SZAJLOK.

Wiem, panie:

Trzy tysiące dukatów.

ANTONIO.

Nie inaczej:

Na trzy miesiące.

SZAJLOK.

O tem zapomniałem.

Na trzy miesiące; tak, jużem to słyszał;

I za poręką waszą; bardzo dobrze;

Pożyczę. Ale chcecie mię posłuchać.

Powiedzieliście, panie, zdaje mi się,

Że gwoli zysku nie wypożyczacie,

Nie pożyczacie pieniędzy?

ANTONIO.

Nie zwykłem

Odbiegać od tej zasady.

SZAJLOK.

Gdy Jakób

Pasł trzodę teścia swojego, Labana,

Był on po naszym świętym Abrahamie,

Za sprawą mądrej swej matki, z kolei

Trzecim, tak, rychtyk, trzecim patryarchą,

ANTONIO.

Cóż nam tu po nim? czy i on brał lichwę?

SZAJLOK.

Nie, lichwy nie brał, to jest wprost w znaczeniu

Przywiązywanem przez was do tej nazwy;

Chciejcież uważać, co Jakób uczynił.

Między Labanem a nim stanął układ,

Że co się tylko pstrych i pręgowatych

Jagniąt urodzi, wszystkie jakóbowi

Na własć przypadną. Skoro więc, jak zwykle

Z końcem jesieni wśród wełnistej rzeszy

Na dobre było dzieło rozplemiania,

Roztropny pasterz ponakrapiał kołki,

I one, w chwili parzenia się, w okół

Powbijał w ziemię tuż przed maciorkami,

Które począwszy wtedy, w swoim czasie

Wydały same srokate jagnięta:

I Jakób posiadał wszystkie. Tym fortem

Zyskał on korzyść i był błogosławion.

Każdy zysk, panie, jest błogosławieństwem,

Gdy nie kradzionym sposobem przychodzi.

ANTONIO.

Był to szczęśliwy traf tylko, na który

Jakób zasłużył; nie mógł on sam przez się

Tego dokazać, bez udziału nieba:

Boska to ręka tak pokierowała.

Ale do czegoż to zmierza? Czy żeby

Uprawnić lichwę? Jest-li wasze złoto

I srebro stadem owiec lub baranów?

SZAJLOK.

Nie wiem, lecz mnożę moje równie szybko.

Ale pozwólcie mi, signore, jeszcze

Słówko powiedzieć.

ANTONIO.

Patrz, Bassanio: szatan

Śmie nam cytować Pismo. Duch skażony,

Zastawiający się świętem świadectwem,

Jest jak złoczyńca z uśmiechem na ustach,

Jak jabłko z wierzchu piękne, wewnątrz zgniłe,

O, jak błyszczący pozór fałsz przybiera.

SZAJLOK.

Trzy tysiące dukatów, piękna suma!

A trzy miesiące, to czwarta część roku.

ANTONIO.

I cóż, Szajłoku? mamy ci być dłużni?

SZAJLOK.

Signor Antonio, wiele, mnogo razy

Zelżyłeś mię sromotnie na Rialto,

Za z bogacenie się moje przez lichwę;

Za każdym razem zniosłem to, z cierpliwem

Wzruszeniem ramion, bo cierpieć jest działem

Naszego ludu. Nazwałeś mię, panie,

Nędznikiem, psem niewiernym, za to tylko,

Że rozporządzam, jak chcę, tem co moje.

Dobrze — aliście teraz się wykrywa,

Że potrzebujesz mej pomocy; oto

Przychodzisz do mnie i mówisz: "Szajloku,

Chcemy od ciebie pożyczyć pieniędzy".

Wyż-to mówicie, signore; wy, coście

Swój charch niedawno na brodę mi spluli?

Coście mię z wzdardą potracali nogą,

Jak psa obcego, coby wam wszedł w drogę?

Pieniądzy chcecie: cóżbym ja powinien

Rzec na to? Nie takżebym rzec powinien:

"Ażali u psa są pieniądze? Możeż

Módz trzy tysiące dukatów pożyczyć ?"

Czyli też mam się skłonić i jak dłużnik,'

Z tchem przytłumionym, pokornie bełkocząc,

Tak rzec: "Łaskawy panie, przeszłej środy

Plunąłeś na mnie; kopnąłeś mię w piątek;

Innego znowu dnia psem mię nazwałeś:

Za te grzeczności, gotówem ci chętnie

Tyle a tyle pieniędzy pożyczyć?"

ANTONIO.

Mógłbym cię łatwo znów tak samo nazwać

Plunąć na ciebie i kopnąć cię znowu.

Jeżeli chcesz nam pożyczyć tę sumę,

To nam ją pożycz nie jak przyjaciołom;

Kiedyż albowiem przyjaciel czynsz ściągał

Od przyjaciela, za jałowy metal?

Pożycz ją raczej jak nieprzyjaciołom,

Których, jeżeli chybią, z śmielszem czołem

Będziesz mógł ścigać.

SZAJLOK.

Jak się unosicie,

Signore! Chciałem was sobie przejednać,

Żyć odtąd z wami w przyjaźni, zapomnieć

Doznanych od was obelg, przyjść wam w pomoc

I nie wziąć ani szeląga procentu

Od mych pieniędzy; a wy nie słuchacie:

Czy nie uprzejmy jestem?

ANTONIO.

W rzeczy samej.

SZAJLOK.

I uprzejmości tej dowiodę. Pójdźmy

Do notaryusza; tam mi podpiszecie

Swój oblig, z taką, dla żartu, klauzulą:

Że jeśli byście mi nie wypłacili

Tej a tej sumy, na ten a ten termin,

W tem a w tem miejscu, jak w punktach stać będzie,

Wynagrodzicie mi, panie, ten zawód

Funtem swojego ciała, który będę

Mógł wam wykroić, skąd mi się spodoba.

ANTONIO.

Zgoda; podpiszę taki akt i powiem,

Że i żyd umie być uprzejmym.

BASSANIO.

Nie chcę,

Abyś akt taki za mnie podpisywał:

Wolę pozostać w kłopotcie, jak jestem.

ANTONIO.

Nie bój się, nic mi złego się nie stanie.

Za dwa miesiące, a zatem o miesiąc

Wcześniej niż termin, otrzymam niechybnie

Dziesięćkroć razy wysokość tej sumy.

SZAJLOK.

O, Abrahamie! co też to za ludzie

Z tych chrześcijan! Własna ich zawziętość czyni.

Ze o toż samo posądzają drugich.

Gdyby mi signor Antonio sfalował,

Cóżbym ja zyskał, zważcie tylko sami,

Na dochodzeniu i egzekwowaniu

Owej klauzuli? Funt mięsa wyjęty

Z ciała ludzkiego nic jest przecie ani

Tyle wart, ani tyle użyteczny,

Co funt wolego albo baraniego:

Widzicie, zatem, że chcę być uczynnym

Jedynie, aby wam się przypodobać.

Przyjmiecie moją przysługę, to dobrze:

A nic, to bądźcie zdrowi i przynajmniej

Za dobre chęci nie krzywdźcie mię odtąd.

ANTONIO.

Dobrze, Szajloku, podpiszę ten oblig.

SZAJLOK.

Udajcież się więc panowie niezwłocznie

Do notaryusza i wskażcie mu, jak ma

Ten żartobliwy układ wygotować.

Ja zaś tymczasem pójdę dukatami

Napełnić worek i zajrzeć do domu,

Którym zostawił na ślizkiej opiece

Sługi urwisa: wnet zdążę za wami.

Wychodzi.

ANTONIO.

Śpiesz się, cny Izraelu. — Ten żydzina

Gotów niedługo wyjść na chrześcijanina:

Spocziwiął jakoś.

BASSANIO.

Nie wiele ja za co

Mam piękne słowa tam, gdzie grunt ladaco.

ANTONIO.

Pójdź; w każdym razie nie osiądziem na dnie:

Statki me wrócą, nim termin zapadnie.

Wychodzą.

AKT DRUGI,

Scena pierwsza.

Belmont. Sala w pałacu Porcyi.

Porcyą, NERYSSA i inne. osoby do Porcyi należące.

Odgłos trąb. Księżę Marakoński wchodzi z orszakiem swoim.

KSIĄŻĘ MARAKOŃSKI.

Nie gardź mną, pani, z powodu mej cery,

Tej ciemnej barwy palącego, słońca,

Którego jestem tak blizkim sąsiadem.

Każ tu sprowadzić i obok mnie stawić

Najpiękniejszego mężczyznę z północy,

Gdzie promień Feba za ledwie odwilża

Zębate krańce lodowców, i pozwól,

Abyśmy sobie, dla miłości twojej,

Otarli skórę, na świadectwo, czyja

Krew jest czerwiejsza: jego albo moja.

Wiedz o tem, pani, że przed tem obliczem

Najwaleczniejsi drżeli, i najwyżej

Uszlachetnione dziewice stref naszych

Lubiły na nie patrzeć. Nie mieniałbym

Za nic tej maści, chyba za wzajemność

Twych uczuć, moja urocza królowo.

PORCYA.

W wyborze moim nie mogę iść, panie,

Za płochą radą niewieścich wyroków,

Choćby los, co ma przyszłość mą rozstrzygnąć,

Nie ogołacał mnie z możności dania

Dobrowolnego komubądź pierwszeństwa.

Gdyby mię wszakże ojciec nie był ścieśnił

I wołą swoją nie był zobowiązał,

Abym oddała moją rękę temu,

Co mię pozyska w sposób wam wiadomy:

Wtedybyś pewnie miał, dostojny książę,

Równe w mych oczach prawo do mych uczuć,

Jak którykolwiek z twych współzawodników,

Których widziałam dotąd.

KSIĄŻĘ MARAKOŃSKI.

Przyjm i za to

Podziękowanie. Terazże, o pani

Chciej mię do owych skrzynek zaprowadzić,

Abym spróbował szczęścia. Na tę szablę,

Która zgładziła Sofiego, syna

Perskiego szacha, która trzykroć razy

Zbiła sułtana Solimana hufce:

Olśniłbym blaskiem najgwiaździstsze oczy,

Zatarłbym męstwem najdzielniejsze serca,
Wydarłbym młode z gniazda niedźwiedzicy,
Co więcej nawet, poszedłbym lwa drażnić,
Gdy ryczy z głodu: bylebym mógł, pani,
Pozyskać ciebie. Ale cóż mi z męstwa!
Kiedy Herkules gra w kości z Lichasem,
Który z nich lepszy, łatwo kość celniejsza
Może przypadkiem paść ze słabszej dłoni.
Tak zginął Alcyd z ręki młodzieniaszka,
Tak i ja mogę, przy ślepej grze szczęścia,
Stracić to, co się kogoś mniej godnego
Stanie udziałem, i umrzeć z zgryzoty.

PORCYA.

Musisz, mój książę, przyjąć szale losu,
I albo wcale wyboru zaniechać,

Albo poprzysiądz, nim wybór uczynisz:

Ze jeśli błędnie wybierzesz, nie będziesz

Na przyszłość nigdy o małżeństwie mówił

Z żadną kobietą: bądź przeto ostrożny.

KSIĄŻĘ MARAKOŃSKI.

Nigdy też mówić nic zechcę. Gdzie skrzynki?

Prowadź mię, pani; niech los mój rozstrzygną.

PORCYA.

Idźmy wprzód do świątyni: po obiedzie

Będziesz mógł, książę, próbować hazardu.

KSIĄŻĘ MARAKOŃSKI.

Święć się, fortuno! stoję bowiem między

Szczytem radości a przepaścią nędzy,

Wychodzą.

Scena druga.

Wenecya. Ulica.

Wchodzi LANCELOT GOBBO.

LANCELOT.

Zaprawdę, sumienie pozwala mi uciec od tego żyda, u którego jestem w służbie; zły duch wciąż za mną stoi i kusi mig i szeptem: "Gobbo, Lancelocie Gobbo, mój kochany Lancelocie", albo: "mój kochany Gobbo", albo: "mój kochany Lancelocie Gobbo, użyj swoich pedałów, weź je za pas i drapnij". Sumienie moje mówi na to: "strzeż się, mój poczciwy Lancelocie, strzeż się, mój poczciwy Gobbo", lub wreszcie: "strzeż się, mój poczciwy Lancelocie Gobbo, nie uciekaj: odepchnij ucieczkę nogą precz od siebie". Ale zły duch niczem nieustraszony, każe mi się wynosić. "Marsz! — mówi zły duch zabieraj manatki! mówi zły duch; — "na miłość zbawienia"! — mówi zły duch — "nabierz męskiej odwagi i ruszaj". Sumienie moje zakłopotane rzuca się mojemu sercu na szyję i mówi do mnie arcymądrze: "Mój poczciwy przyjacielu, mój poczciwy Lancelocie, ponieważ jesteś synem poczciwego ojca" — czyli raczej synem poczciwej matki; bo mój ojciec lubiłczasem pozwolić sobie, miał przyrodzenie krzynekę ciekawe — otże, sumienie moje mówi: "Lancelocie, nie ustępuj! — Ustąp"! mówi zły duch: "nie ustępuj"! — mówi moje sumienie. Sumienie! mówię: dobrze radzisz. Gdybym się dał powodować sumieniem, musiałbym pozostać w służbie u tego żyda, który, Boże mi przebac, jest rodzajem szatana, a gdybym uciekł od tego żyda, tobym się dał spowodować złemu duchowi, który (wybaczcie mi państwo) jest samymże szatanem. To pewna, że ten żyd jest szatanem wcielonym i (na sumienie) sumienie moje nie ma chyba serca, kiedy mi może radzić, żebym u tego żyda pozostał. Zły duch daje miżyczliwszą radę. Dam drapaka, zły duchu: nogi moje na twoje rozkazy.

Stary Gobbo z rozkazom w ręku.

GOBBO.

Kawalerze: powiedzcie mi, proszę, którądy tu się idzie do mieszkania pana żyda?

LANCELOT *na stronie.*

O, nieba! wszakci to mój rodzony ojciec. Czy go do reszty katarakta oślepiła, że mnie nie poznaje. Muszę go trochę zażyć z niańki.

GOBBO.

Mości kawalerze, powiedzcie, proszę, którądy tu się idzie do mieszkania pana żyda?

LANCELOT.

Udajcie się od rogu na prawo, ale od najpierwszego rogu na lewo, uważacie? — od najbliższego rogu nie udacie się ani na prawo, ani na lewo, tylko się wykręcicie w bok, prosto do mieszkania pana żyda.

GOBBO.

Ach mój Bożeczku! po takiej drodze trudno będzie trafić. Nie moglibyścież mi powiedzieć, czy niejaki Lancelot, co jest u niego, jest u niego, czy nie jest?

LANCELOT.

Chcecie mówić o młodym panu Lancelocie? *Na stronie.* Uważajcież teraz, jaką puszcę fontannę. — *Głośno.* Chcecie mówić o młodym panu Lancelocie?

GOBBO.

Nie o żadnym panu, mój panie, ale o synu pewnego biedaka. Jego ojciec jest sobie poczciwym, bardzo biednym chudziną, ale Bogu dzięki przy dobrem zdrowiu.

LANCELOT.

Mniejsza z tem, niech jego ojciec będzie, czem chce: mowa tu jest o młodym panu Lancelocie.

GOBBO.

O słudze waszej Wielmożności i o Lancelocie.

LANCELOT.

Powiedzcie mi przeto, mój staruszk; proszę was przeto, powiedzcie mi, czy mówicie o młodym panu Lancelocie?

GOBBO.

O Lancelocie, do usług waszej Wielmożności.

LANCELOT.

Przeto o panu Lancelocie. Nie mówcie, ojczy, o panu Lancelocie, bo młody ten pan (z woli losów i przeznaczeń i tym podobnych technicznych wyrażen, za sprawą trzech sióstr i tym podobnych gałęzi naukowych) prawdę mówiąc rozstał się z życiem, czyli po prostu mówiąc, przeszedł na łono wieczności.

GOBBO.

Niechże Bóg uchowa! ten chłopak był prawdziwym kijem mojej starości, prawdziwą moją podporą.

LANCELOT.

Czy to ja wyglądam jak pałka, albo kłoda, żebym był kijem albo podporą? Nie poznajesz mnie, ojczy?

GOBBO.

Biedneż moje lata! Nie poznaję was, panie: ale powiedzcie mi, proszę, czy mój chłopak (Panieświeć nad jego duszą) zostaje przy życiu, czy umarł?

LANCELOT.

Nie poznajeszże mnie, ojczy?

GOBBO.

Niestety! mam krótki wzrok: nie poznajęwas, panie.

LANCELOT.

Dalipan, choćbyście mieli oczy, moglibyście mnie nie poznać. Mądry to ojciec, co zna własne dziecko. No, staruszk, daję wam wiadomość. O waszym synu: pobłogosławcie mię! *Przyklęka.* Prawda wyjdzie na wierzch. Zabójstwo nie może być długo ukryte, ale prawdziwy syn swojego ojca może być; bądź co bądź, prawda w końcu wyjdzie na wierzch.

GOBBO.

Proszę was, panie, powstańcie: jestem pewny, że wy nie jesteście moim synem, Lancelotem.

LANCELOT.

Zaniechajcie już, ojczy, tych fecessyi i dajcie mi błogosławieństwo. Jestem Lancelotem, waszym chłopcem, który był waszym synem, który jest waszem dzieckiem, który będzie —

GOBBO.

Nie mogę myśleć, że jesteście moim synem.

LANCELOT.

Nie wiem sam, co mam o tem myśleć; ale jestem Lancelotem, sługą tego żyda; i jestem pewny, że wasza żona, Małgorzata, jest moją matką.

GOBBO.

Małgorzatać jej na imię, Jeżeli jesteś Lancelotem, to mogę na to przysiąc, żeś ty moja własna krew i ciało. Niech Bóg będzie pochwalony! Jakiegożeś dostał zarostu! Więcej masz włosów w brodzie, niż Jacuś, mój stary koń hołoblowy, w ogonie.

LANCELOT.

To widać Jaciusiowi ogon w tył rośnie. Pamiętam przecie, że więcej miał włosów w ogonie, niż ja na twarzy, kiedym go widział po raz ostatni.

GOBBO.

Chryste Panie! jakżeś się odmienił! Jakże się znosisz z swoim panem? Przynoszę mu podarunek. Powiedzie mi, jak się znosicie?

LANCELOT.

Dobrze, dobrze; ale co do mnie, jakem sobie raz postanowił odbiedz od niego, to też nic prędzej stanę, aż ubiegnę kawał drogi, Mój pan jest prawdziwym żydem. Jemu dawać podarunki! Dajcie mu lepiej stryczek. Wychudłem z głodu u niego; moglibyście mi na żebrach palce policzyć. Cieszę się, ojcze, żeś przyszedł, daj mi lepiej swój podarunek dla pewnego signor Bassania, który sprawia sute nowe liberye. Jeżeli nie pójdę w służbę do niego, to pójdę w świat tak daleko, jak ziemia Boża dosięga. Co za szczęście! Oto on sam nadchodzi. Wstaw się do niego, ojcze, bo prędzej żydem zostanę, niż będę dłużej służył u żyda.

BASSANIO wchodzi; za nim LEONARDO z kilku innymi towarzyszami.

BASSANIO.

Możesz to uczynić, ale przyspieszaj takżeby wieczera była gotową najpóźniej o piątej. Oddaj te listy podług adresu; zanieś te liberye do krawca i proś pana Gracyana, żeby zaraz przyszedł do mego mieszkania.

Służący wychodzi.

LANCELOT.

Zbliż się do niego, ojcze.

GOBBO.

Daj Boże wszystko dobre Waszej Wielmożności.

BASSANIO.

Dziękuję: czego chcesz odemnie?

GOBBO.

Oto mój syn, panie, biedny chłopiec.

LANCELOT.

Nie biedny chłopiec, panie, ale bogatego żyda służący, któryby pragnął — jak to mój ojciec zaprezentuje.

GOBBO.

On ma, panie, wiele deklinacyi, że tak powiem, do służby.

LANCELOT.

W istocie: krótko mówiąc, służę u żyda i mam pragnienie — jak to mój ojciec zaprezentuje.

GOBBO.

Jego pan i on — z przeproszeniem waszej wielmożności — są z sobą tak właśnie jak pies z kotem.

LANCELOT.

Słowem, rzecz się ma tak, że ten żyd, u którego służę, przez złe obchodzenie się ze mną, przyprowadził mnie — jak to ojciec mój, który skutkiem wieku jest już stary, niniejszym zaprodukuje.

GOBBO.

Mam tu pasztecik z gołębi, którybym rad zaofiarować waszej wielmożności i prosić...

LANCELOT.

Mówiąc jak najkrócej, prośba ta jest względem mnie impertynencką, jak się wasza wielmożność o tem dowie od tego poczciwego starca, który chociaż stary, jak powiedziałem, biedny jest, i jest moim ojcem.

BASSANIO.

Niech jeden za dwóch mówi. Czego chcecie?

LANCELOT.

Wejść w służbę do was, panie.

GOBBO.

To jest prawdziwy dekret naszej prośby.

BASSANIO.

Znam cię i prośbie twej uczynię zadość.

To, co mi Szajlok dziś mówił, wypada

Na twoją korzyść; jest-li to korzyścią,

U bogatego żyda rzucać służbę,

By zostać sługą biednego szlachcica?

LANCELOT.

Stare przysłowie dobrze się stosuje do was, panie, i do Szajloka: "Lepsza cnota w kapocie, niż niecnota w złocie".

BASSANIO.

Masz słuszość. Idźże się pożegnać teraz

Ze swoim panem, a potem do mego

Zgłoś się mieszkania. *Do towarzyszących mu.* Dajcie mu strojniejsze

Oporządzenie niż innym: słyszycie?

LANCELOT.

Pójdź, ojcze. A co? Nie mogę dostać służby? Zapominam w gębie języka? *Przeglądając się swojej ręce* Niechno mi pokażą piękniejszą, rękę na całe Włochy, którąby można choć na biblii położyć. Będę miał szczęście! ho, ho! Naprzód tylko! Tu za ciasne pole dla człowieka: skąpa miarka kobiet; kilkanaście kobiet, to nic; jedenaście wdów i dziewięć kobiet, to kusy rysurs dla człowieka. A potem, trzy razy ledwie się wykręcić od śmierci przez utonienie i codzień się od niej wykręcać, będąc narażonym na rozbicie sobie głowy o kant łóżka z betami — kaduk mi po takich wykrętach! Dalipan, jeżeli fortuna jest płci żeńskiej, to wkrótce ją nazwę walną dziewuchą. Pójdź, ojcze; w dwa migi pożegnam się z tym żydem.

Wychodzi ze starym GOBBO.

BASSANIO.

Załatw to, mój kochany Leonardo;

A gdy posprawiasz wszystko, com ci zlecił,

Wracaj natychmiast, bo daję dziś wieczór

Dla mych najlepszych przyjaciół. Idź, spiesz się.

LEONARDO,

Spuść się pan na mą gorliwość w tej mierze.

Wchodzi GRACYANO.

GRACYANO.

Gdzie twój pan?

LEONARDO.

Oto przechadza się owdzie.

Wychodzi.

GRACYANO.

Signor BASSANIO, mam prośbę do ciebie.

BASSANIO.

Mów, jaką? jużś skutek jej otrzymał.

GRACYANO.

Muszę się z tobą zabrać do Belmontu.

BASSANIO.

Toć musisz, ale posłuchaj, Gracyano:

Jesteś za szorstki, za niepowściągliwy

W czynach i w mowie; są to strony, które

Pomiędzy nami uchodzą i naszych

Oczu nie rażą, ale w oczach obcych

Dają ci trochę pozór libertyna.

Proszę cię przeto, zadaj sobie pracę

I uskrom kilku chłodnemi kroplami

Obyczajności swą bryczną naturę,

Abym przez twoją rubasznosc nie stracił

Sam na opinii tam, gdzie będziemy razem,

I w mych nadziejach nie upadł.

GRACYANO.

Posłuchaj,

Signor Bassanio: jeżeli nie przyjmę

Skromnej manieri, nie będę się z całym

Uszanowaniem tłumaczył i tylko

Kiedy niekiedy przeklinał; jeżeli

Nic będę nosił codziennie w kieszeni

Książki nabożnej i trusiej miał miny;

A przy modlitwie u stołu nie będę

Ramion na piersiach w krzyż zakładał, wzdychał

I mówił: amen; jeżeli nie będę

Strzegł pilnie wszystkich form przyzwoitości,

Jak ktoś, co postać świętoszka przybiera,

Chcąc się swej starej babce przypodobać:

To niech na zawsze mir u ciebie stracę.

BASSANIO.

Dobrze, zobaczę, jak się znajdziesz.

GRACYANO.

Tylko

Dzisiejszy wieczór ekscypuję sobie;

To, co dziś zrobię, w rachunek nie wchodzi.

BASSANIO.

Bynajmniej; szkodaby było, i owszem,

Radbym, ażebyś się w najparadniejsze

Szaty swojego humoru przystroił,

Bo biesiadnicy nasi będą chcieli

Wesoło czas przepędzić, nie mrukliwie.

Bądź zdrów tymczasem, mam pilny interes.

GRACYANO.

I ja mam także rendez-vous z Lorcelem

I resztą naszych, ale przed wieczorą

Nie omieszkamy stawić się u ciebie.

Wychodzą wszyscy.

Scena trzecia.

Tamże. W domu Szajloka.

JESSYKA. LANCELOT.

JESSYKA.

Przykro mi, że się z nami tak rozstajesz"

Dom ten jest piekłem, a ty byłeś niby

Dyabełkiem, co je swoją wesołością

Rozjaśniał Bądźże zdrów! masz tu dukata.

Sluchajno, Lancelocie, wkrótce będziesz

Widział Lorenca, który u twojego

Nowego pana ma być dziś na uczie:

Podaj mu, proszę, ten list; tylko skrycie.

A teraz bywaj zdrów, aby mój ojciec

Nie dostrzegł czasem" że rozmawiam z tobą.

LANCELOT.

Adie! Łzy absolwują moją wymowę.

O, najpiękniejsza poganko! O, najmilsza hebrejko!

Jeżeli jaki chrześcijanin nie popełni heretyctwa i nie

pojmie cię, to wszystko na świecie zawodzi. Adie!

Te głupie krople rozmiękczają we mnie męskiego

ducha. Adie!

Wychodzi.

JESSYKA.

Bądź zdrow, poczciwy Lancelocie.

Jakże jest wielki mój grzech, że się wstydzę

Być córką mego ojca! Chociaż jednak

Jestem dziecięciem jego krwi, nie jestem

Dziecięciem jego serca. O, Lorenzo,

Dotrzymaj słowa! a wkrótce ochrzczoną,

Wierną do śmierci będę twoją żoną,

Wychodzi.

Scena czwarta.

Tamże. Ulica.

Wchodzą GRACYANO, LORENCO, SALARINO i SOLANIO.

LORENCO.

Tak więc wyśliżnim się podczas wieczerzy.

Co tchu przebierzem się i za godzinę

Powrócim nazad, jakby nic nie było.

GRACYANO.

Nie zrobiliśmy k'temu przygotowań.

SALARINO.

I pochodniarzyśmy nie zamówili.

SOLANIO.

Jeśli się tego zgrabnie nie wykona,

To nic nie warto i lepiej dać pokój.

LORENCE.

Teraz punkt czwarta; mamy zatem jeszcze

Do przygotowań parę godzin czasu.

Wchodzi LANCELOT z listem w ręku.

Cóż tam, kochany Lancelocie?

LANCELOT.

To pismo oświadczy zapewne, jeżeli się waszej Wielmożności podoba je rozkopertować.

LORENCO.

Znam dobrze rękę, która to pisała;

Piękna to ręka i białosc tej ręki

Bielsza niż papier, na którym pisała.

GRACYANO.

Miłosny jakiś raport, ani wątpić.

LANCELOT. Ścielę się do stóp waszej Wielmożności.

LORENCO

Gdzie idziesz?

LANCELOT.

Idę zaprosić mego dawnego pana, żyda, do mego nowego pana, chrześcijanina, na dzisiaj, na kolacyę.

LORENCO.

Weź to i powiedz prześlicznej Jessyce,

Że przyjdę; powiedz jej to pokryjому;

Pamiętaj i bądź zdrów.

Wychodzi LANCELOT.

No, cóż, panowie,

Chcecież należeć do tej maskarady?

Jam już zamówił pochodniarza.

SALARINO.

Chcemy,

I bardzo chcemy; zaraz pójdę za tem.

SOLANIO.

I ja.

LORENCO.

Zejdiesz się ze mną i z Gracyanem

W stancyi Gracyana, za godzinę.

SALARINO i SOLANIO.

Zgoda.

Wychodzą obydwaj.

GRACYANO.

Nie byłże to list ten od pięknej hebrejki?

LORENCO.

Muszę ci wyznać wszystko. Tak jest: właśnie

Pisze mi ona, jak ją z domu ojca

Mam uprowadzić; że się należycie

Zaopatrzyła w złoto i precyzoza,

I ma już ubiór pazia w pogotowiu.

Jeśliby ojciec jej poszedł do nieba,

To tylko córce swojejby to winien;

Gdyby zaś jaka kara niebios miała

Spać na nią samą, to chybaby za to,

Że winna życie niecnemu żydowi.

Pójdźmy, Gracyano, przeczytaj to idąc:

Jessyka będzie nam pochodnię niosła.

Wychodzą.

Scena piąta.

Przed domem Szajloka.

Wchodzą SZAJLOK i LANCELOT.

SZAJLOK.

Dobrze: przekonasz się na własne oczy

Czem jest Bassanio, a czem stary Szajlok.

Pójdź tu, Jessyko! — Nie będziesz, jak u mnie,

Napychał brzucha — Jessyko! — i leżał

Całymi dniami, chrapał; darł odzienie. —

Jessyko! żywo! hej!

LANCELOT.

Jessyko! żywo!

SZAJLOK.

Kto tobie kazał wrzeszczeć? Czym ja kazał?

LANCELOT.

Zwykliście mi byli mówić tylko, że nie powinienem niczego czynić bez rozkazu.

Wchodzi JESSYKA.

JESSYKA.

Wołacie, ojczy? Cóż mi rozkażecie?

SZAJLOK.

Jestem na ucztę zaproszony. Naści

Klucze, Jessyko. Ale pocóż pójdę?

Nie zaprosili mnie tam przez życzliwość;

Chcą mi pochlebić tylko. Pójdę jednak:

Nie przez uprzejmość, ale przez nienawiść,

Aby nasycić się widokiem zbytku

Tego chrześcijańskiego marnotrawcy.

Jessyko, pilnuj domu, moje dziecko.

Idę z niechcenia. Coś niefortunnego

Knuje się przeciw mojej spokojności,

Bo mi się śniły dziś worki z pieniędzmi.

LANCELOT.

Pójdźcie, panie, proszę was; mój nowy pan liczy na waszą przyszłość.

SZAJLOK.

Jak ja na jego.

LANCELOT. Przygotowano tam pewną siupryzę. Nie powiadam, żeby to miała być maskarada, ale jeżeli zobaczycie coś podobnego, to nic darmo mi krew ciekła z nosa w ostatni poniedziałek wielkanocny. O szóstej z rana; któryto poniedziałek przypadł w tym roku na ten sarn dzień, w którym przez cztery lata poprzednie była środa popielcowa.

SZAJLOK.

Co? maskarada ma być? maskarada?

Pozamykajże drzwi szczelnie, Jessyko;

A jak usłyszysz odgłos tarabana

I kwik przeklęty koszlawej piszczałki,

To mi się wtedy nie wieszaj u okien,

Ani wyścibiaj głowy na ulicę,

Aby się gapić na tych chrześcijańskich

Błaznów, z twarzami pomalowanymi;

Ale zaszpunktuj uszy mego domu,

Rozumiem przez to okna, i "nie wpuszczaj

Dźwięku tej głupiej, szalonej rozpusty

Do uczciwego mego domu. Słyszysz ?

Na kij Jakóba przysięgam, że nie mam

Żadnej ochoty do biesiadowania:

Tylko gwałt sobie czynię.

Do Lancelota.

Idź waść naprzód;

Powiedz, że przyjdę.

LANCELOT.

Idę naprzód, panie.

Do Jessyki.

Stań jednak panna w oknie, mimo tego,

Bo się tu zjawi ktoś o zmroku;

Wart, żeby przed nim nie kryć wzroku.

Wychodzi.

SZAJLOK.

Co ci tam prawił do ucha ten hultaj

Z rodu Hagary? hę!

JESSYKA.

Powiedział tylko:

Bądź panna zdrowa; nic więcej.

SZAJLOK.

Ten urwis

Jest w gruncie nie tak zły, ale obżartuch,

Ślimak do pracy i skłonny do spania,

Jak świszcz. Nie trzymam trutniów w moim ulu,

Dlatego też go odprawił, tem chętniej,

Że poszedł w służbę do kogoś takiego,

Komu dopomódz nie omieszka pewnie

Do wypróżnienia pożyczonych worków.

Nuże, Jessyko, idź do domu. Może

Wrócę za chwilę. Zrób tak, jakem kazał;

A drzwi zarygluj. Zamknięta rzecz, święta:

Dobry gospodarz zawsze to pamięta. Wychodzi.

JESSYKA.

Bądź zdrow!

Jeśli mnie szczęście nie łudzi zdradziecko,

Nie mam już ojca, tyś utracił dziecko.

Wychodzi.

Scena szósta.

Tamże.

GRACYANO i SALARINO wchodzą zamaskowani.

GRACYANO.

Oto wystawa, przed którą Lorencio

Kazał nam czekać.

SALARINO.

Pora umówiona

Minęła prawie.

GRACYANO.

Dziw, że się tak spóźnia:

Gachowie zwykli godzinę uprzedzać.

SALARINO.

O, stokroć prędzej gołębie Wenery

Lecą skojarzyć świeży sprzęg miłości,

Niżli się kwapią utrzymać niezłomnie

Obowiązkową wiarę.

GRACYANO.

Tak się dzieje.

Bracie, we wszystkim. Któż wstaje od uczy

Z równym, jak do niej zasiadł, apetytem?

Któryż koń nowy kurs odbywa z ogniem

Tak samo żartkim, jak pierwszy? Wszystkiego

Chciwiej się żąda, niżeli używa.

Nakształt młodzika, albo marnotrawcy,

Wy pływa okręt z rodzinnej przystani,

Gładki i cały, z pełnymi żaglami,

Cacko, pieścідło wiei rozkosznicy;

A wraca nazad nakształ marnotrawcy:

Z żaglami w szmatach, z poprzecieranymi

Zewsząd bokami, chudy, poszarpany,

Ofiara tejże wiei rozkosznicy.

Wchodzi LORENCO.

SALARINO.

Otóż Lorenzo: schowaj to na potem.

LORENCO.

Wybaczcie mi tę zwłokę, przyjaciele:

Nie moja wina w tem, żeście czekali,

Lecz interesu, który mię zatrzymał.

Jeśli będziecie mieli kiedy spełnić

Kradzież kobiety na własny rachunek,

To i ja na was tak długo zaczekam.

Postąpcie bliżej! Tu mieszka żyd, teść mój.

Hop! hop! hop! jest tam kto?

JESSYKA w ubiorze pafia ukazuje się w oknie.

JESSYKA.

Co wy za jedni?

Powiedzcie, aby mnie lepiej upewnić,

Choć mogę przysiąc, że głos wasz poznała.

LORENCO.

To ja, LORENCO, twój kochanek.

JESSYKA.

Tak jest,

Lorenzo, tak, mój kochanek: bo kogóż

Serdeczniej kocham ? Ale któż wie lepiej,

Niż ty, Lorenzo, czy i ty mnie również?

LORENCO.

Niebo i własna twa myśl to poświadcza.

JESSYKA,

Weź tę szkatułkę: warta ona trudu.

Radam, że ciemno i że mnie nie widzisz,

Bo mi wstyd bardzo w tem przebraniu, ale

Miłość jest ślepa; kochankowie nigdy

Nie widzą szaleństw, jakie popełniają;

Gdyby inaczej było, sam Kupido

Zapłonilby się, widząc mnie w tej chwili

Tak przemienioną w chłopca.

LORENCO.

Zejdź, kochanie:

Trzeba, ażebyś mi pochodnię niosła.

JESSYKA.

Pochodnię? Mamie sama jeszcze świecić

Memu wstydowni? Zbyt on i tak jawny.

Ej! luby! środek to uwidocznienia,

A mnieby trzeba być ukrytą,

LORENCO.

Czyliż

Niż już nie jesteś w tym ślicznym kostymie?

Zejdź no, bo noc już jest na przesileniu,

I towarzysze uczyty u Bassania

Czekają na nas.

JESSYKA.

Zamknę drzwi, zabiorę

Jeszcze coś złota i zejdę natychmiast.

Znika z okna.

GRACYANO.

To nie żydówka, to bóstwo, na honor!

LORENCO,

Wierzcie mi, że ją kocham z całej duszy,

Bo jest roztropną, jeśli się znam na tem,

I piękną, jeśli oko mnie nie zwodzi,

I wierną, o tem już mię przekonała;

Za tę więc piękność, roztropność i wiarę

Wieczną jej z serca uczynię ofiarę.

Wchodzi JESSYKA.

A! przecież przysła! — Dalejże, panowie,

Spieszmy, bo musim stawić się na słowie.

Wychodzi. JEASYKA i SALARINEM. — Wchodzi ANTONIO,

ANTONIO.

Kto tu jest?

GRACYANO.

Czyś to ty, signor Antonio?

ANTONIO.

Ej, ej, Gracyano! Gdzież reszta kompanii?

Już po dziewiątej: czekają na ciebie.

O maskaradzie niema dzisiaj mowy;

Wiatr się odwrócił; Bassanio chce zaraz

Siadać na okręt. Wysiałem za tobą

Z jakich dwudziestu posłańców.

GRACYANO.

Niczego

Bardziej nie pragnę i nie żądani więcej,

Jak być pod żaglem i w drodze czempredzej.

Wychodzą.

Scena siódma.

Belmont. Sala w pałacu Porcyi.

Odgłos trąb. PORCYA i KSIĄŻĘ MAROKAŃSKI wchodzą z orszakami swymi.

PORCYA. Idźcie frankę podnieść i odsłonić

Owe trzy skrzynki temu cnemu księciu.

Wybieraj teraz, panie.

KSIĄŻĘ MAROKAŃSKI.

Jedna ze złota; ma na wierzchu napis:

"Kto mnie wybierze, zyska to, co wielu nęci."

Druga ze srebra, a na niej te słowa:

"Kto mnie wybierze, wygra to, czego jest godzien;"

Trzecia z ołowiu, z godłem również lichem:

"Kto mnie wybierze, musi wszystko ryzykować."

Po czymże poznam, czym wybrał właściwą?

PORCYA.

W jednej z nich mieści się mój wizerunek:

Gdy tę wybierzesz, książę, będę twoją.

KSIĄŻĘ MAROKAŃSKI.

Niechże bóg jaki kieruje mym sądem.

Muszę, raz jeszcze przejrzeć te napisy.

Cóż mówi naprzód ta skrzynka z ołowiu?

"Kto mnie wybierze, musi wszystko ryzykować."

Za co? za ołów? ryzykować wszystko.

Za podły ołów? ta skrzynka wątpliwa.

Kto ryzykuje wszystko, ten to czyni

W nadziei chyba sowitej korzyści.

Złota myśl nie dba o śmiecie, i ja więc

Nie ryzykuję wszystkiego za ołów.

Cóż mówi teraz z kolei ta srebrna?

"Kto mnie wybierze, wygra to, czego jest godzien",

Czego jest godzien? namyśl się, Maroko,

I zważ w bezstronnej dłoni swoją wartość.

Gdybym byt cenion w miarę mej zasługi,

Byłbym zaiste godzien wiele posiąść;

To wiele jednak mogłoby się nie dać

Rozciągnąć właśnie do tej pięknej pani.

jakkolwiek, z drugiej strony, wątpić o tem,

Byłoby sobie samemu ubliżać.

Czegóż ja jestem godzien? Jej, zaiste;

Godzien jej jestem przez ród, przez majątek,

Przez wychowanie i umysł; lecz bardziej

Nad wszystko godzien jej jestem przez miłość".

Gdybym też nie szedł dalej i tę wybrał?

Ale zobaczmy jeszcze, co opiewa

Napis wyryty na tej złotej skrzynce?

"Kto mnie wybierze, zyska to, co wielu nęci".

O niej to mowa, ona nęci wszystkich;

Ze wszech stron świata ciągną tu rycerze,

Aby się modlić do tego świętego,

Śmiertelną pierśią tchnącego posągu.

Hirkańskie stepy, nieprzebyte piaski

Rozległych pustyń Arabii, są teraz

jakby drogami utorowanemi

Przez książąt, chcących ujrzeć piękną Porcyę.

Dumne królestwo wód, którego paszcze

Plują w twarz niebu, żadną nie jest tamą

Dla tych miłosnych pątników: jest ono

Dla nich jak strumień łatwy do przebycia,

Przez który dążą ujrzeć piękną Porcyę. —

W jednej z tych skrzynek ma się tedy mieścić

Jej boski obraz. Czyżby w ołowianej ?

Sama myśl o tem byłaby bluźnierstwem,

Taki sprzęt byłby za nikczemny nawet

Do otoczenia jej całunu w grobie.

Mamie przypuścić, że ją kryje srebro,

Którego wartość jest dziesięćkroć razy

Mniejszą niż złota? O, bezbożna myśli!

Nigdy tak drogi, tak uroczy klejnot

Nie był oprawny inaczej jak w złoto.

Jest w Anglii złotej monety gatunek,

Z wyobrażeniem anioła w odbiciu,

W odbiciu tylko; tu w tem złotem łożu

Spoczywa cały anioł. — Tę wybieram:

Daj mi klucz, pani, niech się co chce stanie!

PORCYA.

Oto jest: otwórz ją książkę. Jeżeli

W niej jest mój obraz, będę twoją.

KSIĄŻĘ MAROKAŃSKI *otworzywszy skrzynki.*

Piekło!

Co to takiego ? Trupia głowa, w której

Wygniłem oku tkwi jakoweś pismo.

Cóż tu jest napisane? przeczytajmy. Czyta.

Nic wszystko, co się lśni, jest złotem:

Oddawna ci mówiono o tem.

Nie jeden rozstał się z żywotem,

Co się dal złudzić mym błyskotem,

Grób złoty bywa tuczny błotem.

Gdyby twój zapał, ścisłym splotem,

Z mądrości złączon był przymiotem,

Byłbyś był treść mą odgadł lotem.

Idź precz, odpowiedź twa nic potem. —

Precz więc, po gorzkim tym zawodzie,

Grzejący ogniu! witaj, chłodzie!

Bądź zdrowa, Porcyo, kto tak jak ja stratny,

Ten do pożegnań dłuższych jest niezdatny.

Wychodzi ze swym orszakiem.

PORCYA.

Spuśćcie zasłonę! To pierwszy akt próbny,

Oby tak wybrał każdy doń podobny!

Scena ósma.

Wenecya. Ulica.

Wchodzi SALARINO i Solanio.

SALARINO.

Tak jest, widziałem Bassania pod żaglem;

Z nim i Gracyano się wyprawił; ale

Lorenca niema, ręczę, na ich statku.

SOLANIO.

Ten żyd szubrawiec, krzykiem skłonił dożę,

Pójść z nim i okręt Bassania przetrząsnąć.

SALARINO.

Za późno przyszli, okręt był już wtedy

Na pełnem morzu; doszło jednak dożę,

Że w jednej z gondol widziano Lorenca

Z rozmiłowaną jego Żydóweczką.

Przytem Antonio ręczył doży słowem,

Że ich nie było na Bassania statku.

SOLANIO.

Jeszcze nie widział żalu tak dziwnego,

Tak szalonego, tak sprzecznego w sobie,

Jaki po mieście ten parch żyd wyzionął.

Moje dukaty! — wołał — moja córka!

O, moja córko! — O, moje dukaty!

Uciekła z chrześcijaninem! — O, chrześcijańskie

Moje dukaty! — O, sprawiedliwości!

"O, córko! — O, dukaty! — Cały worok,

Całe dwa worki opieczętowane,

Pełne dukatów, podwójnych dukatów,

Skradła mi własna córka! — i precyoza,

Parę kamieni, parę drogocennych

Kamieni, własna córka mi ukradła! —

Sprawiedliwości! — Znajdźcie mi tę dziewczkę!

Oddajcie mi ją. — Ona ma przy sobie

Moje kamienie i moje dukaty!

SALARINO.

Wszystkie weneckie chłopcy biegną za nim

I krzyczą: Córka! Dukaty! Kamienie!

SOLANIO.

Niech się Antonio ogląda na termin,

Bo mógłby za to przypłacić.

SALARINO.

To pewna:

Wczoraj poznałem się z jednym Francuzem,

Który mi mówił, że w ciasnym przesmyku,

Dzielącym Francję od Anglii, zatonął

Jakiś nasz okręt z bogatym ładunkiem.

Gdy mi to mówił, natychmiast Antonio

Przyszedł mi na myśl i pragnąłem w duszy,

Aby to nie był jego.

SOLANIO.

Powinienbyś

Antonia o tem uwiadomić; wszakże

Nie nagle, boby go to przeraziło.

SALARINO.

Niema na świecie poczciwszego serca.

Byłem obecny, kiedy się Bassanio

I on żegnali; mówił mu Bassanio,

Że wszelkich starań dołoży, ażeby

Wrócić co rychlej; on zaś odrzekł na to:

Nie, mój Bassanio, nie zbywaj tej sprawy

Byle jak, przez wzgląd na mnie, niechaj ona

Dojrzeje z czasem, a ów skrypt u żyda

Niech nie zakłóca twych troskliwych myśli.

Bądź wesół i zwróć całą swoją dążność

Ku pozyskaniu względów i zabiegom,

Jakie cię będą mogły tam zalecić, —

To mówiąc, z łzami w oczach twarz odwrócił,

Chcąc ukryć swoje wzruszenie; uścisnął

Rękę Bassania i tak się rozstali.

SOLANIO.

Zdawałoby się prawie, ie on żyje

Tylko dla niego. Pójdźmy go odwiedzić

I smutek jego rozerwać cokolwiek,

W ten albo inny sposób.

SALARINO.

Dobrze, idźmy.

Wychodzą.

Scena dziewiąta.

Belmont. Sala w pałacu Porcyi.

Wchodzi NERYSSA ze służącym.

NERYSSA.

Podnieść zasłonę. Księżę Aragoński

Formie przysięgi uczynił już zadość

I wraz tu przyjdzie dopełnić wyboru.

Odgłos tręb. Wchodzą: księżę Aragoński i PORCYA z swymi orszakami.

PORCYA.

Szlachetny księże, oto leżą skrzynki.

Jeśli wybierzesz tę, w której mój obraz,

Ślubny nasz obrzęd zaraz się odbędzie;

Jeśli zaś chybisz, panie, będziesz musiał

Ustąpić dziś natychmiast, bez szemrania.

KSIĄŻĘ ARAGOŃSKI.

Przysięga, którąm złożył, wkłada na mnie

trzy obowiązki: naprzód, nie wymieniać

Przed nikim, którą z tych skrzynek wybrałem;

Powtóre, jeśli nie trafnie wybiorę,

Nigdy się odtąd nie starać o rękę

Żadnej dziewicy; na ostatek, w razie,

Gdyby mię szczęście zawiodło, niezwłocznie

Opuścić dom twój, pani, i odjechać.

PORCYA.

Trzy te warunki zaprzysięga każdy,

Co chce niegodną mą osobę posiadać.

KSIĄŻĘ ARAGOŃSKI.

Będę im wierny. Terazże Fortuno,

Rozśmiej się! — Złoto, srebro, lichy ołów. —

"Kto mnie wybierze, musi wszystko ryzykować."

Trochębyś piękniej musiała wyglądać,

Żebym cię przeniósł nad inne. Cóż mówi

Ta świetnie złotem błyszcząca? zobaczmy!

"Kto mnie wybierze, zyska to, co wielu nęci."

Co wiciu nęci? Przez ten wyraz "wielu",

Możnaby głupi gmin rozumieć, który

W wyborze swoim chwyta się pozoru,

Pojmując tylko to, co może tępym

Wzrokiem namacać: nie pogląda wewnątrz.

I jak jaskółka, wątlą swą budowę

Kleci w powietrzu u zewnętrznej ściany,

Na grę przypadku. Nie wybiorę tego,

Co wielu nęci, bo nie chcę stad duchem

Na równym stopniu z pospolitą rzeszą,

Ani się bratać z bezrozumnym tłumem.

Do ciebie teraz zwracam się, do ciebie,

Srebrna skarbnico! Cóż mi ty obwieścisz?

"Kto mnie wybierze, wygra to, czego jest godzien"

Sensowne zdanie! bo któżby się ważył

Kusić o szczęście i o cześć, nie mając

Stępia zasługi ? Wara komukolwiek

W niezasłużony stroić się przywilej!

Gdyby lenności, stopnie i urzędy

Nie przychodziły sposobem nieprawym,

I gdyby każda godność piastowana

Była nabytkiem godności wewnętrznej,

Iluzby ludzi nakrywało głowy,

Zamiast stać kornie z odkrytemi! Iluz

Rozkazodawców słuchałoby wtedy,

Ileżby szui nikczemnej odpadło

Z pomiędzy pełnych ziarn istnej wyższości!

A ile istnej wyższości powstało

Z plew i rumowisk czasu, aby nowym

Błaskiem zajaśnieć! Lecz wróćmy do rzeczy.

"Kto mnie wybierze, wygra to, czego jest godzien".

Dufam w zasługę. Daj mi klucz, o pani,

By mi otworzy! tę drogę do szczęścia!

PORCYA.

Za opieszale przystępujesz, książę,

Do tego, co tam masz znaleźć.

KSIĄŻĘ ARAGOŃSKI *otwiera skrzynkę.*

Co widzę?

Portret idyoty, który, oczy mrużąc,

Wyciąga ku mnie zapisany świstek.

O, jakżeś różny od obrazu Porcyi!

Od mych nadziei i zasługi mojej!

"Kto mnie wybierze, wygra to, czego jest godzien."

Godzienże jestem tylko głowy głupca?

Toż mój dział Nie wartem niczego więcej?

PORCYA.

Błądzić i sądzić są to dwa zadania

Różne i sprzeczne z sobą.

KSIĄŻĘ ARAGOŃSKI.

Cóż tu stoi? *Czyta.*

Czem srebro skutkiem chrztu płomieni,

Tem w próbach ci są doświadczeni,

Czyj umysł sięga aż do rdzeni;

Niejeden cień zwodniczy ceni,

To też nie zyska nic prócz cieni.

Bywają głupcy posrebrzeni,

Jak ten, co prawdą to być mieni.

Z kimkolwiek waszmość się ozeni,

Będziemy z sobą połączeni.

Bądź zdrow: już tego nic nie zmieni,

Przepraszam jak najuniżeniej. —

Gdybym tu jeszcze dłużej bawił,

Więcejbym głupstwa się nabawił.

Przyszedłem z jedną głupią głową,

A wracam nazad z dubeltową.

Adieu! nic dla mnie tu już pole;

Odchodzę z wstydem znieść mą dolę.

Wychodzi ze swym orszakiem.

PORCYA. br> Tak w świecy toną ćmy i mole.

O, światłe głupcy! mędrzy z głową chorą,

Im głębiej wezmą, tem płycej wybiorą.

NERYSSA.

Dobrze to mówi stare aksyoma,

Ze śmierć i żona z góry przeznaczona.

PORCYA.

Nerysso, spuść firankę.

Wbiega służący.

SŁUŻĄCY.

Jest tu pani?

PORCYA.

Jest, mości panie.

SŁUŻĄCY.

Przed bramą pałacu

Zsiadł z konia jakiś młody Wenecyanin,

Z uwiadomieniem o blizkim przybyciu

Swojego pana, od którego przywiózł

Najuprzejmniejsze pozdrowienia, to jest,

Oprócz grzeczności i pięknych słów, dary

Znacznej wartości. Nie widziałem jeszcze

Gońca miłości tak miłego. Nigdy

Kwietniowy ranek nie zwiastował wabniej

Zbliżającego się nadejścia lata,

Niż ten posłaniec swego pana.

PORCYA.

Przestań,

Boję się, żebyś w końcu nie powiedział,

Że on jest jakim blizkim twoim krewnym, .

Tak uroczyste sypiesz mu pochwały.

Pójdźmy, Nerysso. Jak mi się też wyda,

Ciekawa jestem, ten laufer Kupida.

NERYSSA.

Bassanio, królu serc! Coś mi się roi.

Że to kwatermistrz z awangardy twojej.

Wychodzą

AKT TRZECI.

Scena pierwsza.

Jedna z ulic Wenecyi.

SOLANIO i SALARINO.

SOLANIO.

Cóż tam słyhać na Rialto?

SALARINO.

Wciąż jeszcze krąży ta pogłoska, że okręt Antonia z kosztownym ładunkiem zatonął w owej cieśninie. Goodwins podobno nazywa się to miejsce; ma. to być ława piaszczysta, bardzo niebezpieczna, w której kości niejednego krzepkiego okrętu leżą pogrzebione, jeżeli jejmość pani Fama jest prawdomówną babą.

SOLANIO.

Radbym, żeby była babą plotkarką, jak każda z tych, co żują imbier i wmawiają w sąsiadów, że oplakują śmierć trzeciego męża. Niemniej dlatego jest prawdą, usuwając na bok wszelką rozwlekłości nie tamując toku rozmowy niepotrzebnymi frazesami, że Antonio, nasz poczciwy, nasz nieoszacowany Antonio, gdzież znajdę epitet prawdziwie godny iść w parze z jego nazwiskiem!...

SALARINO.

Dociągnijże do końca.

SOLANIO.

Co takiego?. A! koniec końców niema kwestyi, że stracił okręt.

SALARINO.

Bogdajby się na tem skończyły jego straty.

SOLANIO.

Śpieszę się powiedzieć: amen, zanim mi szatan do tego przetnie drogę; bo oto się tu zbliża w żydowskiej postaci.

Wchodzi SZAJLOK.

Cóż tam, Szajloku? Jakież nowiny między kupcami?

SZAJLOK.

Wyście wiedzieli; nikt lepiej niż wy nic wiedział o ucieczce mojej córki.

SALARINO.

Niezawodnie. Ja z mojej strony wiedziałem przynajmniej o krawcu, co jej uszył skrzydła do tej ucieczki.

SOLANIO.

A Szajlok ze swojej strony wiedział, że jego ptak miał już pierze; w takim zaś razie wszystkie mają ten obyczaj, że wylatują z gniazda.

SZAJLOK.

Potępienie ją za to czeka.

SALARINO.

Zapewne, jeżeli ją szatan sądzić będzie.

SZAJLOK.

Taka niesforność własnej mojej krwi i ciała!

SOLANIO.

Wstydz się, stary, w tym wieku mieć krew i ciało niesforne.

SZAJLOK.

Moją krwią i ciałem jest moja córka.

SALARINO.

Między twojem a jej ciałem większa jest różnica, niż między hebanem a kością słoniową; między jej krwią a twoją, większa, niż między deserowem winem a lurą. Ale powiedziano nam, czy słyszałeś, że Antonio na morzu poniósł stratę? Prawda;! to,

czy bajka?

SZAJLOK.

W tem ci nowy sęk dla mnie. To bankrut, utracysz; nie śmie się teraz ani pokazać na Rialto; to golec:

on, co bywało tak strojnie przechodził na rynek. Niechże się ogląda na swój oblig! Zwykł był nazywać mię lichwiarzem; niech się ogląda na swój oblig! Zwykł był pożyczać przez miłość chrześcijańską, niech się ogląda na swój oblig!

SALARINO.

Nie zechcesz mu przecież rznąć ciała, jeżeli nie zapłaci w terminie; na cóżby ci się zdało?

SZAJLOK.

Na przynętę dla ryb. Jeżeli zresztą nie nasyci nikogo, nasyci przynajmniej moją zemstę. On mię lżył, wydarł mi na jakie pół miliona spodziewanych korzyści; naigrawał się z mojej straty; bluźnił memu narodowi; krzyżował moje zarobki; odwodził odemnie przyjaciół, a nieprzyjaciół na mnie podszczywał. I za cóż to wszystko? za to, że jestem żydem. Czyliżto żyd nie ma rąk, członków, organów, zmysłów, uczuć, namiętności? Nie żywiż się tymi samymi pokarmami, nie możeż być zraniony takim samem narzędziem, nie ulegaż takim samym chorobom, nie leczyż się takimi środkami, nie czujeż tak samo zimna w zimie, a ciepła w lecie, jak chrześcijanin? Nie płynież z nas krew, jak nas zakłujecie? Nieśmiejemyż się, jak nas załaskoczenie? Nie umieramyż, jak nas otrujecie? a jak nas skrzywdzicie, nie mamyż się mścić za to? Jeżeliśmy we wszystkim innem do was podobni, to i w tem chcemy was dorównać. Jeżeli żyd skrzywdzi chrześcijanina, w czymże się objawi jego pokora? W zemście. Jeżeli chrześcijanin skrzywdzi żyda, w czymże się ma objawić jego potulność na wzór chrześcijański? Ny, także w zemście. Uczycie nas złości, ny, to ja ją zastosuję w praktyce; i źleby być musiało, gdyby uczeń nie przeszedł swych nauczycieli.

Wchodzi służący.

SŁUŻĄCY.

Mój pan, Antonio, życzy sobie widzieć się z panami: jest teraz w domu.

SALARINO.

Właśnieśmy mieli iść do niego.

Wchodzi TUBAL.

SOLANIO.

Oto nadchodzi drugi z pokolenia: gdyby trzeci miał się jeszcze przymieszać, toby szatan musiał zostać żydem.

Wychodzą ze służącym SALARINO i SOLANIO.

SZAJLOK.

TUBAL! Co przywozisz z Genui? Znalazłeś moją córkę?

TUBAL.

W wielu miejscach słyszałem o niej, ale jej nigdzie znaleźć nie mogłem.

SZAJLOK.

Aj waj mir! aj waj mir! Przepadł mój dyament, dałem za niego dwa tysiące dukatów w Frankfurcie. Przekleństwo teraz dopiero spadło na Izraela, nigdy go dotychczas nie czułem. Dwa tysiące dukatów w tym kamieniu! i tyle innych drogich, kosztownych klejnotów! Wolałbym, żeby moja córka leżała trupem u nóg moich, ażeby miała w uszach te klejnoty. Wolałbym, żeby leżała na marach u nóg moich, a w trumnie miała owe dukaty. Żadnej wieści o nich! Aj waj mir! i nie wiem jeszcze, ile wydam za szukanie. Aj waj! Koszt na koszt! Złodziej wziął już tyle i tyle znowu na śledzenie złodzieja! I znikąd zadośćuczynienia! i znikąd zemsty! Nigdzie biedy, tylko na moim karku; nigdzie westchnienia, tylko z mojej piersi; nigdzie też, tylko w moich oczach!

TUBAL.

Mają biedę i inni. Słyszałem w Genui, że Antonio...

SZAJLOK.

Co? co? co? Biedę? jaką biedę?

TUBAL.

Stracił galereę, która płynęła z Trypolis.

SZAJLOK.

Bogu dzięki! Bogu dzięki! Czy to prawda? Czy to prawdą?

TUBAL.

Mówiłem z paru majtkami, którzy ocaleli z rozbicia.

SZAJLOK.

Dziękuję ci, giter Tubal! Dobra wiadomość! Dobra wiadomość! Gdzie? w Genui?

TUBAL.

Wasza córka wydała w Genui, jak słyszę, jednego wieczora ośmdziesiąt dukatów.

SZAJLOK.

Tubal! Wpychasz we mnie sztylet. Nigdy już mego złota nie zobaczę! Ośmdziesiąt dukatów na jeden raz! Ośmdziesiąt dukatów!

TUBAL.

Kilku wierzycieli Antonia przybyło ze mną razem do Wenecyi; zapewniali, że musi ferfaj zrobić.

SZAJLOK.

Bardzo się cieszę z tego; będę go dręczyć, będę go torturować; bardzo się cieszę.

TUBAL.

Jeden z nich pokazywał mi pierścień, który mu wasza córka dała za małpę.

SZAJLOK.

Żeby ją donder! Tubal, torturujesz mnie: to był mój turkus; dostałem go od Lei, kiedy byłem jeszcze chłopcem; nie byłbym go oddał za cały las małp.

TUBAL.

Ale Antonio jest niezawodnie kaput.

SZAJLOK.

Tak, to prawda, to prawda. Idź, mój Tubal, najmij mnie woźnego; zamów go naprzód na dwa tygodnie. Muszę mieć jego serce, jeżeli sfaluje termin; bo jak go raz nie będzie w Wenecyi, to będę mógł prowadzić mój handel, jak zechcę. Idź, idź, mój Tubal; znajdziesz mnie podle synagogi; idź, giter Tubal, podle synagogi.

Wychodzą

Scena druga.

Belmont. Sala w pałacu Porcyi.

BASSANIO, PORCYA, GRACYANO, NERYSSA i służba. Skrzynki wystawione na widok.

PORCYA.

Wstrzymaj się jeszcze, signore, zaczekaj

Dzień lub dwa, zanim dokonasz wyboru,

Bo gdybyś błędnie wybrał, pozbawioną

Byłabym twojej obecności; bądź więc

Cierpliwy, proszę. Coś mi skrycie mówi,

(Lecz to nie miłość,) że rozstać się z panem

Z trudnościąby mi przyszło, a sam przyznasz,

Że nienawiści głos bywa odmienny.

Abyś mię jednak pan lepiej zrozumiał,

(Choć to kobiecie myśleć tylko wolno,

Ale nie mówić,) chętniebym cię miesiąc

Albo dwa w moim zatrzymała domu,

Zanimbyś odbył tę grę hazardowną.

Mogłabym pewne podać ci skazówki

Co do trafności wyboru, lecz wtedy

Złamałbym moją musiała przysięgę,

A tego nigdy nie uczynię. Tak więc

Możesz mię chybić; jeśli byś zaś chybił,

Zaiste dałbyś mi powód do grzechu,

Boby mi przyszło żałować, żem była

Wierną przysiędze. O, te oczy wasze

Opanowały mię i rozdwoiły:

Jedna połowa moja już jest waszą;

Druga połowa waszą, to jest moją,

Chciałam powiedzieć; lecz jeżeli moją,

To waszą także, więc i całość wasza.

Zawistna do! żeby kłaść przegrodę

Między własnością a właścicielami!

I waszą jestem i nie waszą. Jeśli

Na tem się skończy, co jest, niechaj za to

Fortuna będzie, nie ja potępioną!

Za długo mówię, ale to jedynie,

Aby czas przewlec, rozciągnąć, przedłużyć,

A z nim wasz wybór.

BASSANIO.

Pozwól mi wybierać,

Bo tak, jak jestem, żyję na katowni.

PORCYA.

Bassanio na katowni ? Jakaż wina

Obciąża waszą miłość?

BASSANIO.

Żadna inna,

Jak tylko sroga wina niepewności,

Która mi wątpić każe, czy w miłości

Będę szczęśliwy. Taki sam stosunek

Zachodzi między śniegiem a płomieniem,

Jak między winą a moją miłością.

PORCYA.

Muszę się jednak obawiać, signore,

Czy rzeczywiście nie mówisz z katowni,

Skąd ludzie tylko w przymusowy sposób

Zwykli są czynić zeznania.

BASSANIO.

O, Porcyo!

Przyrzecz mi życie, a prawdę ci wyznam.

PORCYA.

Żyj więc i wyznaj!

BASSANIO.

Kochaj więc! w tem właśnie

Mieści się żywa treść mego wyznania.

O, błoga męko, gdy tortorujący

Sam zbawić zdolną poddaje odpowiedź!

Zobaczmy jednak, co mi los przeznaczył

W tych tajemniczych skrzynkach. Pozwól, pani,

PORCYA.

Przystąp więc. W jednej z nich ukrytą jestem

Jeśli mię szczerze kochasz, to mię znajdziesz.

Nerysso, ustąp w głąb z resztą obecnych.

Niech wyborowi jego towarzyszą

Dźwięki muzyki, by jego zgon dla mnie,

Jeżeli chybi, był jak zgon łabędzia,

Co wśród melodyi gaśnie. Dla większego

Uzupełnienia tego podobieństwa

Oczy me będą mu strumieniem, mokrem,

Śmiertelnem łóżem, jeżeli zaś trafi,

Czemże muzyka będzie w takim razie?

Wtedy muzyka będzie jak ów odgłos

Trąb, gdy przed nowo-ukoronowanym

Monarchą wierny lud chyli kolana;

Jak owe słodkie dźwięki, które z pierwszym

Brzaskiem dnia płyną w ucho oblubieńca

I do ołtarza go wiodą. Już idzie,

Z równą odwagą, lecz z większą miłością

Niż kiedyś Alcyd, gdy szedł znieść ów haracz,

Jaki morskemu potworowi Troja

Niosła w dziewicach. Ja tu stoję z przodu,

Niby ofiara; a te tam opodal,

To są dardańskie niewiasty patrzące

Z trwogą na skutek jego przedsięwzięcia.

Idź, Herkulesie! Życie mc zależy

Od twego: więcej ja czuję obawy,

Niż ty sam, w obec tej groźnej wyprawy.

Muzyka daje się słyszeć. BASSANIO tymczasem zastanawia się nad napisami, będącymi na skrzynkach.

ŚPIEW:

PIERWSZY GŁOS.

Powiedz, gdzie się skłonność rodzi,

W głowie-li, czy w sercu młodzi,

Jaki życia bieg przechodzi?

DRUGI GŁOS.

W oczach rodzi się, karmiona

Paszą wzroku, żyje ona

W swej kolebce i w niej kona.

Ogłośmy jej zgon:

Dyn! dyn! dyn! brzmi dzwon. .

CHÓR.

Dyn! dyn! dyn! brzmi dzwon.

BASSANIO.

Tak, choć sam sobie często pozór kłamie,

Świat zawsze daje się uwodzić blichтром.

W sądach naprzykład: jakaż święta sprawa,

Pokryta gładkim pokostem wymowy,

Tem się wydaje, czym jest? W rzeczach świętych

Jestże błąd jaki, któryby pod sankcją

Powagi, zręcznym poparty sofizmem,

Nie przyzdobił się w godziwą postać?

Niema występku tak nagiego, iżby

Nie miał po wierzchu jakichsi cech cnoty.

Iluzto tchórzów, z sercem równie miękkim

Jak schody z piasku, nosi groźne brody

Na podobieństwo Alcyda lub Marsa,

Choć w żyłach mają miasto krwi serwatkę

I tą powłoką męstwa straszą nieraz?

Przypatrzcie się piękności, a ujrzycie,

Że jest najczęściej kupioną na wagę.

I tu się jawi cudowność natury;

Bo im blask większy na zewnątrz, tem większa

Czczość bywa w gruncie: takimi są owe

Złote, falisto-trefione kędziory,

Na wiatr puszczone i skaczące z wdziękiem

Obrachowanym na efekt; częstokroć

W nich poznajemy własność innej głowy,

Która na teraz spoczywa w grobowcu.

Tak więc ozdoba jest kwiecistym brzegiem

Niebezpiecznego morza, piękną tkanką,

Zasłaniającą twarz murzynki; słowem,

Jest niby prawdą, łowiącą na wędę

Najmędrszych nawet. Nie chcę przeto ciebie,

Zwodnicze złoto, ty strawo Midasa!

Ni ciebie, blady służalcze, co biegasz

Z ręki do ręki; ale ciebie, ciebie,

Skromny ołowiu, który grozisz raczej,

Niż jakąkolwiek obiecujesz korzyść.

Twoja prostota wymowniej mię nęci:

Ciebie wybieram, niech cię los uświęci!

PORCYA

Jak się w powietrze ulatniają moje

Błędne obawy, wrzące niepokoje,

Złowieszcze troski i chwiejące względy!

Miłości, poskrom radosne zapędy!

Folguj, zmniejsz nadmiar swojego zachwytu!

Abym u tego szczęśliwości szczytu

Nie utraciła zmysłów.

BASSANIO *otwierając ołowianą skrzynkę*

Cóż tu znajdę? —

Ha! obraz pięknej Porcyi! Jakież półbóg

Zdołał do tego stopnia naśladować

Żywy arcywzór? Sąż te oczy w ruchu?

Czy też, przyłgnąwszy do oprawy moich,

Zdają się w ruchu? Te na wpół otwarte,

Różane wargi dzieli nektar tchnienia:

Tak słodki tylko może istnieć przedział ,

Między tak śliczną parą. Tu, w tych włosach

Malarz jak pająk, osnuł sieć na serca.

Ale jej oczy! jak mógł patrzeć na nie,

Chcąc je nakreślić? Nim jedno nakreślił,

Obadwa swoje powinien był stracić

I nie dokończyć dzieła. Ależ patrzcie!

O ile prawda moich słów uwłacza

Temu cieniowi, za słabo go wielbiąc,

O tyle także ten cień ustępuje

Przed rzeczywistą prawdą. Oto karta,

W której treść mego szczęścia jest zawarta.

Czyta.

Ty, coś się trzymał prawej szali,

Gardząc tem, co lśni okazalej,

Roztropność twą fortuna chwali;

Bądź kontent i nie szukaj dalej.

Serce-li tve się k'temu skłania,

Czego ci posiąść los me wzbrania,

Zbliź się do lubej bez. wahania,

Upomnieć się pocałowania.

Słodki nakazie! — Luba, pozwól zatem.

Całuje ją.

Umocowany tym prawnym mandatem

Stojąc przed tobą, sam z sobą spór wiodę,

Jak ktoś, co z drugim walcząc o nagrodę,

I słysząc poklask w zgromadzonym tłumie,

Oszołomiony topi się w zadumie,

I pyta siebie: dla mnież te poklaski?

Tak i ja, jeszcze niepewny twej łaski,

Nie śmiem radością mego szczęścia mierzyć!

O, stwierdź je, poświadczy, pozwól mi w nie wierzyć!

PORCYA.

Signor Bassanio, pisz mię, jak mię widzisz.

Dla siebie samej nie byłabym pewnie

W żądaniach moich zbyt wymagającą,

Pragnąc o wiele być lepszą, niż jestem;

Ale dla ciebie radabym w trójnasób

Dwadzieścia razy spotęgować siebie,

Być tysiąc razy piękniejszą, niż jestem,

Dziesięć tysięcy razy tak bogatą.

Dlatego tylko, żeby większej ceny

Nabrać w twych oczach, radabym pod względem

Przymiotów, wdzięków, mienia i znaczenia

Stać wyżej ceny. Ale cała suma

Wartości mojej wynosi zaledwie

Małe coś: jestem, ogółowo biorąc,

Kobietą bez nauki, bez oglądy,

Bez doświadczenia, w tem tylko szczęśliwą,

Żem nie za stara jeszcze do nauki;

Szczęśliwszą nadto, że z natury nie mam

Uspodobienia tępego do nauk;

A najszczęśliwszą, że słaby mój umysł

Poddaję teraz pod władzę twojego,

Byś nim kierował, jako mój małżonek,

Przewodnik i pan. Ja i wszystko moje

Należy odtąd do ciebie i twoich.

Przed chwilą jeszcze byłam właścicielką

Tego pałacu, panią moich ludzi,

Królową siebie samej: w tej zaś chwili

Dom mój, i słudzy moi, i ja sama

Jestem własnością twoją. Przyjm nas, panie,

Wraz z tym pierścieniem: jeżeli go zgubisz,

Darujesz komu, lub w jakibądź sposób

Z nim się rozłączysz, będzie to wskazówką,

Że miłość twa ostygła i powodem

Dla mnie do skargi na twoją niewiarę.

BASSANIO.

Pani, odjęłaś mi mowę; krew tylko

Z tętn mego serca przemawia do ciebie:

Takie jest w moich władzach zamieszanie,

Jakie po pięknie powiedzianej mowie

Ukochanego monarchy panuje

W kole radośnie gwarzących słuchaczy;

Kędy głos każdy krzyżując się z drugim,

Zlewa się w jeden chaos uniesienia,

Wyrażonego lub niemego. Ale

Jeśli ten pierścień kiedykolwiek uczyni

Rozdział z tym palcem, to wtedy i życie

Uczyni rozdział z tą pierśią; o, wtedy

Powiedz stanowczo: Bassanio nie żyje.

NERYSSA.

Wybaczcie państwo, teraz kolej na nas,

Cośmy tu stali i byli świadkami

Spełnienia naszych życzeń, na nas kolej

Zabrać głos teraz i wykrzyknąć: wiwat!

Wiwat pan młody! wiwat panna młoda!

GRACYANO.

Signor Bassanio i ty, cna signoro!

Życzę wam wszelkich pociech, jakich sobie

Życzyć możecie; nie przypuszczam bowiem,

Abyście sobie mogli tego życzyć,

Iżbym takowych ja był pozbawiony.

Skoro zaś macie uroczwście święcić

Zakład wzajemnej wiary, toż pozwólcie

I mnie współcześnie zostać oblubieńcem.

BASSANIO.

I owszem, tylko sobie znajdź wprzód żonę

GRACYANO.

Jużem ją sobie znalazł, z waszej łaski.

Wzrok mój w chyżości równa się waszemu:

Signor ujrzałeś panie, a ja pannę;

Zakochałeś się i ja zakochałem.

Bo powolnością nie grzeszę, podobnie

jak mój łaskawy pan. Los twój, signore,

Zależał od tych tajemniczych skrzynek,

I mój też, jak się w skutku okazało.

Czyniąc tu bowiem moje oświadczenia

Tak, żem aż spotniał, i zaprzysięgając,

Moje afekta tak, że mi od zaklęć

Aż podniebienie wyszło, otrzymałem

Od tej piękności wkońcu przyrzeczenie,

Jeżeli się na przyrzeczeniach kończy,

Że mi swe serce odda, skoro tylko

Szczęście uczyni cię, signore, panem

Ręki jej pani.

PORCYA.

Prawdaż to, Nerysso ?

NERYSSA.

Tak, pani, jedli pani to potwierdzisz.

BASSANIO.

Myśliszże o tem na seryo, Gracyano?

GRACYANO.

Jak najseryoźniej.

BASSANIO.

Związek wasz uświetni

Nasze wesele..

GRACYANO *do Neryssy.*

Założym się z nimi

O tysiąc dusiów, komu się urodzi

Pierwszy sukcesor.

NERYSSA.

I położym stawkę?

GRACYANO.

Nie, raczej z sobą to uczynim. Ale

Któżto się zbliża? Lorenc z swą poganką.

Ho! i mój stary przyjaciel Soleryo.

Wchodzą: LORENCO, JESSYKA i SOLERYO.

BASSANIO.

Lorenc, Soleryo, witam was, o ile

Wolno mi witać was gośćmi w tym domu,

W którym tak jeszcze młode mam znaczenie.

Pozwól mi, droga Porcyo, gośćmi nazwać

Moich przyjaciół i współziomków.

PORCYA.

Z serca

Mienię ich temże nazwiskiem i witam.

LORENCO.

Dzięki ci, pani. Co do mnie, signore,

Nie zamierzałem przyjść cię tu odwiedzić,

Ale Soleryo, którego przypadkiem

W drodze spotkałem, zawezwał mię w sposób,

Żadnej odmowy nie przypuszczający,

Abym mu tutaj towarzyszył.

SOLERYO.

Tak jest,

I uczyniłem to nie bez powodu.

Signor Antonio pozdrawia cię, panie.

Tym listem.

Oddaje list Bassaniowi.

BASSANIO.

Zanim go rozpieczętuję,

Powiedz, jak się ma ten zacny przyjaciel?

SOLERYO.

Nie jest on chory, prócz chyba na duszy;

Ani zdrow, chyba na duszy. W tym liście

Znajdziesz, signore, stan jego skreślony.

GRACYANO.

Nerysso, bądź uprzejmą dla tych panów;

Podejm ich wdzięcznie. Daj rękę, Soleryo!

Cóż tam w Wenecyi słyhać? Jak się miewa

Pocziwy nasz Antonio, ten król kupców?

Wiem, jak go nasza pomyślność ucieszy:

Myśmy Jazony, co zdobyli runo.

SOLERYO.

Bogdaj to runo, które on utracił!

PORCYA.

Musi ten papier kryć coś bardzo złego,

Kiedy tak spędził barwę z lic Bassania.

Zapewne umarł ktoś mu drogi; cóżby

Bowiem innego mogło tak dalece

Zmienić człowieka silnego na ducha?

Coraz to gorzej. Wybacz mi, Bassanio,

Jam twa połowa i mnie więc dotyczy

Połowa tego, co ten list zawiera.

BASSANIO.

O, Porcyo! nigdy jeszcze mniej przyjazna

Wieść nie splamiła papieru. Najmilsza!

Gdym po raz pierwszy oświadczył ci miłość,

Wręcz ci wyznałem, że całym mem mieniem

Jest krew szlachetna, co w mych żyłach płynie.

Wtedy mówiłem prawdę, ale teraz

Dowiesz się, pani, jak chełpliwy byłem

Ceniąc majątek mój z niczem na równi.

Zamiast powiedzieć, że nic nie posiadam,

Właściwie trzeba mi było powiedzieć,

Że mam mniej jeszcze niż nic, bom zaciągnął

Dług u drogiego przyjaciela; ten zaś,

Aby mi pomódz, zadłużył się swemu

Najzawziętszemu nieprzyjacielowi.

List ten, o pani, jest, wyobraź sobie,

Jakoby ciałem mego przyjaciela,

A każdy wyraz w nim, jakoby raną,

Którą ucieka życie. Czy być może?

Soleryo, prawdaż to? Wszystkie widoki,

Takie miał, spełzły? nic nie dopisało?

Żadenże okręt z Trypolis, Meksyku,

Anglii, Lisbony, Barberyi i Indyi,

Nieszczęśliwego nie uniknął starcia

Z rozbójniczymi skały?

SOLERYO.

Ani jeden.

A potem, choćby miał sumę potrzebną

Do spłaty żyda, tenby jej zapewne

Teraz nie przyjął. Nie widziałem jeszcze

Stworzenia, ludzką noszącego postać,

Któreby było tak chciwie zazarte

Na zgubę ludzką. Dzień i noc się wieszają

Przy uszach doży, prawi o zgwałceniu

Publicznych swobód, jeśli mu odmówią

Sprawiedliwości. Ze dwudziestu kupców,

Sam Doża nawet i najznakomitsi

Senatorowi starali się jego

Upór przełamać, ale nadaremnie:

Wciąż się domaga zadośćuczynienia

Z mocy obliżu i praw mu służących.

JESSYKA.

Gdym jeszcze była u niego, słyszałam,

Jak się kłął przed Tubalem i przed Chusern,

Współwyznawcami swoimi, że woli

Ciało Antonia, niż dwadzieścia razy

Wziętą tę sumę, jaką ma u niego;

I pewna jestem, że jeżeli prawo,

Władza i siła nie przeszkodzą temu,

Z biednym Antoniem źle się skończy.

PORCYA.

Wasz-li

Blizki przyjaciel w takim jest kłopotcie?

BASSANIO.

Najdroższy mój przyjaciel, najpocziwszy,

Niespracowany w uczynności człowiek,

W którym się rzymska starożytna cnota

Przebija bardziej, niż w kimbądź we Włoszech.

PORCYA.

Jakąż on sumę winien jest żydowi?

Bossanio. Trzy tysiące dukatów i to za mnie.

PORCYA.

Nie więcej ? Wypłać mu te trzy tysiące

I podrzej oblig: podwój mu tę sumę,

I podwojoną zwiększ w trójnasób jeszcze,

Nimby tak zacny, szlachetny przyjaciel

Miał z twej przyczyny choćby włos utracić.

Pójdź teraz ze mną, luby, do kościoła,

Nazwij mię żoną, poczem nie zwlekając

Jednej godziny, pośpiesz do Wenecyi

Wydobyć z toni swego przyjaciela:

Bo nigdy serce twe z niespokojnością

Nie będzie biło obok mego. Dam ci

Potrzebną ilość złota na spłacenie

Tego małego długu w dwadzieścikroć;

A gdy go spłacisz, zabierz z sobą tego

Zacnego męża i przywieź tu do nas.

My we dwie będziemy tu przez ten czas żyły

W stanie dziewiczym i wdowim. Pójdź, luby,

Bo pierwiej muszą połączyć nas śluby.

Bądź wesół; otwórz gościom nasze progi,

Drogoś mi przyszedł, będziesz mi więc drogi;

Ale przeczytaj mi, proszę, to pismo.

BASSANIO *czyta.*

Kochany Bassanio, wszystkie moje okręty zatoneły, moi wierzyciele zaczynają się srożyć, byt mój ze szczętem zrujnowany; obligu wystawionego żydowi termin ekspirował, a ponieważ spłacając go, niepodobna, abym żył, przeto wszelkie długi pomiędzy tobą a mną zostaną umorzone. Obym cię tylko mógł widzieć przed śmiercią! Zrób jednak, jak ci wypadnie: jeżeli cię serce nie skłoni do przybycia, nie sądź się do tego zniewolony tym listem.

PORCYA.

O, luby, porzuć wszystko i wyjeżdżaj!

BASSANIO.

Gdy ty mię naglisz, cóż mię wstrzymać może?

Lecz zanim nazad skieruję me kroki,

Żadne, bądź pewna, nie znęci mię łoże,

Żadna fatyga nie skusi do zwłoki.

Wychodzą.

Scena trzecia.

Jedna z ulic Wenecyi.

Wchodzą SZAJLOK, ANTONIO, SOLANIO i dozorca więzienia.

SZAJLOK.

Dozorco, pilnuj go; nie pleć o względach,

Ten głupiec darmo borgował; powtarzam,

Pilnuj go.

ANTONIO.

Słuchaj mię, dobry Szajloku.

SZAJLOK.

Muszę mieć oblig zrealizowany;

Próżne gadanie: przysiągłem, że będę

Przy tem obstawał. Psem mię nazywałeś,

Nim miałeś powód do tego: ny, dobrze,

Kiedym pies, strzeżże się mych zębów. Dola

Jest sprawiedliwy. Dziwię się, dozorco,

Ślamazarności twojej: po co było

Wyjść z nim na miasto?

ANTONIO.

Posłuchaj mię, proszę.

SZAJLOK.

Nie chcę cię słuchać, chcę mieć to, co stoi

W twoim obligu; zatem nie psuj gęby.

Nie myślcie, żebym był takim ciemięgą,

Co spuszcza głowę, rozczula się, wzdycha,

I chrześcijańskim jękom słuch podaje.

Precz! drwię z stów: chcę mieć to, co jest w obligu.

Wychodzi.

SOLANIO.

To pies bez serca, jakiego egzemplarz

Pomiędzy ludźmi jeszcze się nie zdarzył.

ANTONIO.

Niech sobie idzie; nie będę go więcej

Bezowocnymi nachodził prośbami.

On na me życie dybie i wiem za co:

Nierazem z jego pazurów wydobył

Dłużników, co się przedemną żalili:

Stąd jego do mnie nienawiść.

SOLANIO.

Zapewne

Doża nie uzna ważności obliżu.

ANTONIO.

Doża nic może wstrzymać biegu prawa,

Bo naruszenie w czembądź pełnych swobód,

Jakie w Wenecyi służą cudzoziemcom,

Ośławiłoby sprawiedliwość państwa;

Na cudzoziemcach zaś wszelkich narodów

Polega handel i byt tego miasta.

Idźmy więc! niema już sposobu na to.

Smutki i straty tak mię wycieńczyły,

Że nie wiem, czy mi na jutro funt mięsa

Dla wierzyciela mego pozostanie.

Idźmy, dozorczo. Dałby Bóg przynajmniej,

Żeby Bassanio był przy tem, jak będę

Płacił za niego; mniejsza mi o resztę.

Wychodzi.

Scena czwarta.

Belmont. Pokój w pałacu Porcyi.

PORCYA, NERYSSA, LORENCO, JESSYKA i BALTAZAR.

LORENCO

Pani, jakkolwiek jesteś tu obecną

Przecież nie waham się wyznać, że jesteś

Wzorem prawdziwie anielskiej dobroci;

Dowodem tego jest, że tak spokojnie

Znosisz małżonka oddalenie. Gdybyś

Wiedziała jednak, dla kogo je znosisz,

Jak poczciwego ratujesz człowieka,

Wtedy zaiste byłabyś dumniejszą

Ze swego dzieła, niż zwyczajna dobroć

Może ci na to pozwalają.

PORCYA.

Nie było

Mi jeszcze nigdy żal dobrych uczynków,

A tem mniej teraz: bo współtowarzysze,

Co wszystkie chwile przepędzają razem,

Co splekli dusze w jeden węzeł bratni,

Muszą koniecznie także równe sobie

Rysy i umysł i cnoty posiadać.

Wnoszę stąd, że ten Antonio, tak drogi

Memu mężowi, musi być niechybnie

Pod każdym względem do niego podobny.

Jeśli zaś tak jest, jakże małoważnem

Jest to, com z mojej strony uczyniła,

Aby ten obraz duszy mej uchronić

Od piekielnego okrucieństwa. Ale

Ta gadanina trąci samochwalstwem:

Zatem dość tego, mówmy o czym innym.

Mości Lorenzo, powierzam ci zarząd

Mojego domu, oraz gospodarstwo

Pod nieobecność mojego małżonka.

Co do mnie skrycie ślubowałam niebu,

Że w kontemplacyi i modłach żyć będę

Odosobniona, li tylko z Neryssą,

Do dnia powrotu obu naszych mężów.

O parę mil stąd znajduje się klasztor,

Tam się udamy. Proszę was uprzejmie,

Nie odmawiajcie mi podjąć się tego,

Czego życzliwość moja i zbieg zdarzeń

W tej chwili od was żąda.

LORENCO.

Chętnie, pani,

Będę posłuszny we wszystkim, co każesz.

PORCYA.

Już moi ludzie wiedzą o mej woli,

I będą was tu z Jessyką uważać

Jako zastępców moich i Bassania.

Bądźcież mi zdrowi, nim znów się zobaczym.

LORENCO.

Swobodne myśli i godziny błogie

Niech ci, o pani, towarzyszą!

JESSYKA.

Życzęć,

Łaskawa pani, wszelkich pociech serca.

PORCYA.

Z podziękowaniem zwracam wam życzenie

Tegoż samego. Bądź zdrowa, Jessyko.

Wychodzą LORENCO i JESSYKA.

No, Baltazarze, zawszem do tej pory

Znajdowała cię wiernym i pocziwym,

Niechb>POe cię takim znajdę i tym razem.

Weź ten list i co tylko sit ci stanie,

Spiesz z nim do Padwy; oddasz go do własnych

Rąk mego wuja, doktora Belaryo.

A odebrawszy od niego papiery

I suknie, które mi przez ciebie prześle,

Najpierwszym statkiem, jaki się nastreczy,

Odpłyniesz z nimi do Wenecyi. Nie trać

Czasu na słowach, idź: ja wprzód tam będę.

BALTAZAR.

Spieszę, o pani, z całą skwapliwością.

Wychodzi.

PORCYA.

Mam pewien projekt, Nerysso, o którym

Nic jeszcze nie wiesz; ujrzym naszych mężów

Prędzej, niż myślą.

NERYSSA.

I oni nas takie?

PORCYA.

Ujrzą nas, ale ujrzą w takim stroju,

Że nam przypiszą posiadanie tego,

Na czym nam zbywa. Założę się z tobą,

O co chcesz, że gdy obie się przebierzem

Za młodych ludzi, ja wydam się większym

Zuchem od ciebie; nosić będę szpadę

Z bardziej rycerską gracyą i przemawiać

W alt wpadającym, dyszkantowym głosem,

Jak chłopiec, kiedy przechodzi w wyrostka;

Z dwóch drobnych kroczków robić będę jeden,

Prawdziwie męski; jak młody junaka

Rozprawiać będę o bójkach i burdach,

I zgrabnie kłamać, jak to o mą miłość

Dystyngowane starały się damy,

A gdym takowej im odmówił, jak się

Martwiły srodze, schły i umierały:

Nie mogłem przecie starczyć wszystkim. Poczem

Żałować będę i prawić, że jednak

Nie powinienem był tak ich zabijać;

I tym podobnych niewinnych kłamstw sypać

Będę bez liku, tak, że słuchający

Przysięgną, że już od roku z klas wyszedł.

Mam ich już cały repertuar w głowie.

NERYSSA.

Mamyż postacie męskie na się przyjąć?

PORCYA.

Co za pytanie! Fe, tak się wyrażasz,

Jak gdybyś miała być tłumaczem prawa.

Pójdź bliżej, cały plan mój ci opowiem,

Siedząc w powozie, który czeka na nas

Przed bramą parku. Nie traćmy więc chwil,

Bo mamy odbyć dziś dwadzieścia mil.

Wychodzą.

Scena piąta.

Tamże, Ogród.

LANCELOT i JESSYKA.

LANCELOT.

Tak, zaprawdę; bo to, widzicie pani Jessyko, grzechy ojców mają być karane na dzieciach; dlatego wierzajcie mi, że się o was frasuję. Zawszem był prostoduszny z wami, pani Jessyko; to też i teraz oświadczam wam bez przegródki moją agitacją z waszego powodu. Dlatego nie traćcie serca, bo po prawdzie, widzi mi się, żeście skazaną na potępienie. Jedna tylko zostaje wam otucha, choć po prawdzie jestto rodzaj niegodziwej otuchy.

JESSYKA.

Jakaż to otucha?

LANCELOT.

Możecie poniekąd tuszyć sobie, że nie wasz ojciec dał wam życie; że nie jesteście córką tego żyda.

JESSYKA.

Byłby to w istocie rodzaj niegodziwej otuchy; w takim razie byłabym karaną za grzechy mojej matki.

LANCELOT.

Zaprawdę tak: boję się dlatego, czy nie będziecie potępioną zarówno z powodu ojca, jak i matki. Uniknąwszy deszczu, to jest waszego, ojca, trafiam pod rynnę, to jest waszą matkę. Niema rady, skądkolwiek wziąć, czeka was zguba.

JESSYKA.

Będę zbawiona z łaski mego męża; przez niego zostałam chrześcijanką.

LANCELOT.

Zaprawdę, nie można mu tego mieć za dobre. Było nas chrześcijan dość i wprzód, akurat tyle, coby wyżyć jedni przy drugich. To mnożenie chrześcijan podniesie cenę wieprzowiny. Jak wszyscy zaczniemy jeść świńskie mięso, to wkrótce człowiek za swoje pieniądze ani kawałka szperki do rynki nie dostanie.

Wchodzi LORENCO.

JESSYKA.

Mój mąż nadchodzi: zaraz mu powtórzęto, coś mówił, Lancelocie.

LORENCO.

Wzbudzisz we mnie zazdrość, Lancelocie, jak się tak będziesz słał po kątach z moją żoną,

JESSYKA.

Nie masz się czego obawiać, mój Lorenzo. Lancelot zerwał ze mną. Powiedział mi wręcz, że niebo jest dla mnie zamknięte, bo jestem córką żydowską, i utrzymuje o tobie, że nie jesteś dobrym członkiem społeczeństwa, bo nawracając żydów do chrześcijaństwa, podnosisz przez to cenę mięsa świńskiego.

LORENCO.

Potrafę się z tego przed społeczeństwem lepiej usprawiedliwić, niż ty z twoich sprawek z murzynką.

LANCELOT.

Ze w braku białej rzodkwi pożywiam się i czarną, tegoć mi za grzech poczytać nie można; nie jestci to zakazany owoc. Dobra zresztą i murzynka, kiedy nic sparciała.

LORENCO.

Jak też to lada półgłówek ma gotową odpowiedź. Wkrótce przyjdzie do tego, że prawdziwy dowcip będzie się najlepiej objawiał przez milczenie, a szermowanie gębą zalecać będzie tylko papugi. Idź waść i powiedz, żeby przygotowano do obiadu.

LANCELOT

Już się to stało, panie: brzuchy są już przygotowane.

LORENCO.

Patrzcie, co za koncepcista! Powiedzie tedy, żeby przygotowano obiad,

LANCELOT

I to się już stało; idzie tylko o zastawienie.

LORENCO.

To go zastaw.

LANCELOT.

Ja zaś? Nie, panie: wolałbym suknię zastawić, niż obiad.

LORENCO.

Znowu dwuznacznik! Chcesz od razu wydać cały zasób swego dowcipu? Jam prostomówny człowiek, bierz więc wprost moje wyrazy. Idź do swoich kolegów, każ im nakryć do stołu i przynieść jadło, zaraz przyjdziemy na obiad.

LANCELOT.

Stół, panie, będzie nakryty, jadło przyniesione, co się zaś tyczy waszego przyjścia na obiad, to jest dependentem waszych wól i humorów.

Wychodzi.

LORENCO.

Święty rozsądku, co tu słów daremnych!

Ten cymbał wraził sobie w pamięć całą

Armie konceptów. Znamci niejednego

Półgłówka, wyżej niż ten stojącego,

Co się nastrzępia jak on i poświęca

Rzecz grze wyrazów. Cóż myślisz, Jessyko?

Jak ci się żona Bassania podoba?

JESSYKA.

Bardziej, niż mogę wyrazić. Bassanio

Powinien bardzo przykładne wieść życie,

Gdy go los taką małżonką obdarzył,

W której znajduje raj już tu na ziemi;

Jeśliby tego raju nie oceniał,

Nie wartby dostać się do niebieskiego.

Gdyby dwóch niebian zapragnęło sobie

Do pary dobrać dwie równe ziemianki,

I Porcyą była stawioną na jednej

Z dwóch szal, do drugiej wypadłoby dodać

Coś więcej jeszcze dla zrównoważenia,

Bo ten ubogi, ułomny świat nie ma

Drugiej podobnej.

LORENCO.

Jaką on w niej żonę,

Takiego męża ty posiadasz we mnie.

JESSYKA.

O to byś mnie się też powinien spytać.

LORENCO.

Zapewne, tylko wprzód idźmy na obiad.

JESSYKA.

Wolę cię chwalić, gdym przy apetycie.

LORENCO.

Proszę cię, schowaj to na pogadankę

W czasie obiadu; co bądź wtedy powiesz,

Z czem innym prędzej strawić to potrafię.

JESSYKA.

Zobaczysz, jakie ci sypnę pochwały.

Wychodzą.

AKT CZWARTY.

Scena pierwsza.

Wenecya. Sala sądowa.

Wchodzą: DOŻA, Senatorowie, ANTONIO, BASSANIO, GRACYANO, SALARINO, SOLANIO i inne osoby.

DOŻA.

Jest tu Antonio?

ANTONIO.

Jestem.

DOŻA.

Żal mi ciebie:

Masz do czynienia z twardym przeciwnikiem,

Z srogim niecnotą, w którym niema iskry

Litości ani ludzkości.

ANTONIO.

Słyszałem,

Że się go Wasza Wysokość starała

Ująć i zmiękczyć wszelkimi sposoby.

Ponieważ jednak obstaje przy swoim

I żaden prawny nie może mnie środek

Od zawziętości jego zabezpieczyć,

Stawiam więc spokój przeciw jego złości,

I gotów jestem z całą rezygnacją

Poddać się skutkom jego barbarzyństwa.

DOŻA.

Niech tam kto idzie przyzwać tego żyda.

SOLANIO.

Stoi on u drzwi, panie, oto idzie.

Wchodzi SZAJLOK.

DOŻA.

Zejdźcie mu z drogi, niech stanie przed nami.

Szajloku, wszyscy sądzą i ja myślę,

Że tę pozorną złośliwość posuwasz

Tylko do chwili jej wywarcia; gdy zaś

Przyjdzie ją wyrzucić, okażesz łagodność

I zmiłowanie, w wyższym jeszcze stopniu,

Niż to udane okrucieństwo. Zamiast

Poszukiwania swej należytości

Na ciele tego nieszczęsnego kupca,

Nie tylko, tuszym, karę tę umorzysz,

Ale co więcej, przejęty ludzkością,

Darujesz nawet połowę waluty,

Przez wzgląd na straty, jakie świeżo poniósł;

Straty tak wielkie, że byłyby zdolne

Ze szczerem przygnieść króla wszystkich kupców,

Oraz współczucie wzbudzić nawet w sercach

Twardych jak krzemień, w piersiach kutych z miedzi,

W dzikich Tatarach i Turkach, co nigdy

Żadnej czułości nie znali przystępu

.Żydzie, czekamy na twoją odpowiedź

I spodziewamy się wszyscy łagodnej.

SZAJLOK.

Jużem oznajmił Waszej Wysokości

Stały mój zamiar; poprzysiągłem w szabas,

Że będę żądał, co mi się należy

Z mocy obligu; jeślibym w tej mierze

Sprawiedliwości nie uzyskał, niechaj

Odpowiedzialność ciąży na swobodach

] przywilejach tego miasta. Może

Wasza Wysokość zapyta, dlaczego

Wolę wziąć marny funt mięsa, niż przyjąć

Zwrot mych dukatów? Na to nie odpowiem.

Przypuśćmy jednak, że to kaprys; stanież

To za odpowiedź? Gdybym, mając w domu

Szczura, co broi, chciał dać trzy tysiące

Dukatów za to, żeby go się pozbyć?

Nie stanież jeszcze i to za odpowiedź?

Są, co nie mogą znieść kwiku prosięcia;

Innych w szaleństwo wprawia widok kota;

Są znowu tacy, którym nerwy miękną,

Skoro usłyszą głos kobziego nosa;

Wrażliwość bowiem, pani wszelkich wzruszeni

Kieruje nimi wedle tego, co jej

Mile przypada albo odrażliwie.

Moja odpowiedź tak brzmi zatem: Jako

Nie można znaleźć słusznego powodu,

Dlaczego jednych razi kwik prosięcia,

Tych widok kota, bestyi tak niewinnej,

A tamtych odgłos dud wydętych; wszakże

Tak ci, jak owi, mimowolnie muszą

Ściągać na siebie zarzut, ze zostawszy

Obrażonymi, wzajem obrażają:

Tak samo i ja, oprócz pewnej ansy

I wstrętu, jaki czuję do Antonia,

Ani znam ani chcę naznaczyć powód,

Dlaczego z własnym uszczerbkiem dochodzę

Praw moich na nim. Dałżem już odpowiedź?

BASSANIO.

To nie odpowiedź, człowieku bez serca:

Nie zdoła ona okrucieństwa twego

Usprawiedliwić.

SZAJLOK.

Nie mam obowiązku

Zadowolania was mą odpowiedzią.

BASSANIO.

Mamyż zabijać to, czego nie lubim?

SZAJLOK.

Któżby oszczędzał to, co nienawidzi?

BASSANIO.

Obraza racyaż jest do nienawiści?

SZAJLOK.

Dacież się zmii po dwakroć ukąsić?

ANTONIO.

Daj pokój; pomnij, że masz sprawę z żydem.

Mógłbyś zarówno z morskiego wybrzeża

Kazać ustąpić pieniacej się fali;

Mógłbyś zarówno prawować się z wilkiem,

Słyszac bęczącą za jagnięciem owcę;

Mógłbyś zarówno wzbronić sosnom w górach

Wyniosłe czoła uginać i szumieć,

Gdy niemi wichery gwałtowny szamoce;

Słowem, najcięższe chce złamać trudności,

Jak usiłować wzruszyć jego twarde,

Żydowskie serce. Szlachetni panowie,

Nic proponujcie mu niczego więcej;

Nie przedsiębiorcie żadnych dalszych kroków,

Lecz pozostawcie bieg zwyczajny prawu,

A jemu wolność czynienia co zechce.

BASSANIO.

Za trzy tysiące dajęć sześć tysięcy

Dukatów.

SZAJLOK.

Choćbyś każdy z tych dukatów

Podzielił na trzy części, i chociażby

Każda z tych części dukatem się stała,

Nie przyjąłbym ich i żądałbym tego,

Co wyrażone w obligu.

DOŻA.

Jak możesz

Liczyć na względy, kiedy sam ich nie masz?

SZAJLOK.

Za cóżbym miał się obawiać wyroku,

Gdy nic nie czynię niesprawiedliwego?

Macie niemało płatnych niewolników,

Których na równi z osłami i psami

Do jak najniższych posług używacie,

Dlatego, żeście ich kupili. Gdybym

Ozwał się do was: powróćcie im wolność,

Przyjmcie ich w grono swej rodziny; po co

Wkładacie na nich tak wielkie ciężary?

Niech mają łoża tak miękkie jak wasze,

I strawę równie wykwinłą jak wasza.

Wy odpowiecie: "toż ci niewolnicy

Są przecie naszą własnością;" podobnież

Ja odpowiadam: ten marny funt mięsa,

Którego żądam, moją jest własnością;

Drogom go kupił i chcę go posiadać:

Jeśli mi tego odmówicie, hańba

Waszemu prawu! Ustawy Wenecyi

Są czczą literą, mocy nie mającą.

Czekam na wyrok; usłyszęż go dzisiaj?

DOŻA.

Z mocy urzędu odroczym na później

To posiedzenie, jeżeli Bellaryo,

Uczony doktor, którego wezwałem

O rozpoznanie przedmiotu tej sprawy,

Dziś nie przybędzie.

SALARINO.

Panie, tam za drzwiami

Stoi posłaniec z listem od doktora,

Świeżo przybyły z Padwy

DOŻA.

Niechaj wnijdzie.

BASSANIO.

Śmiało, Antonio! Nie trać serca: oddam

Krew mą żydowi, ciało, kości, wszystko,

Nim za mnie jedną kroplę krwi uronisz.

ANTONIO.

Jak zarażony skop z całego stada

Najstosowniejszy jestem na śmierć, bracie;

Najsłabszy owoc najpierw spada z drzewa,

Niechże i ze mną stanie się podobnie.

Nie żądam innej przysługi od ciebie,

Drogi Bassanio, jak żebyś żył dalej

I mnie położył nagrobek.

Wchodzi NERYSSA przebrana za dependentę.

DOŻA.

Czy z Padwy jesteś, z ramienia Bellarya?

NERYSSA.

Z obojga tego, Bellaryo pozdrawia

Waszą Wysokość; oto list od niego.

BASSANIO.

Po co nóż ostrzysz z taką skwapliwością?

SZAJLOK.

Żeby nim wyróżnić dług z tego bankruta.

GRACYANO.

Na sercu swoim wocuj go, poczwaro,

Nie na podeszwie, prędeż go naostrzysz;

Lecz żaden metal, żaden topór kata

Nie może ani w części tak być ostry

Jak twoje zęby. Nicże cię nie wzruszy?

SZAJLOK.

Nic z tego, coby dowcip twój wynalazł

GRACYANO.

Niechże cię piekło schłonie, psie kamienny,

I niech za twoje życie sprawiedliwość

Odpowiedzialną będzie! Ty mnie z moją

Wiarą poróżniasz: nieledwiebym gotów

Podzielić zdanie Pitagoresowe,

Że dusze zwierząt w kadłub ludzki włożą.

Twój duch sobaczy siedział niegdyś w wilku,

Z którego, kiedy został powieszony,

Za zżarcie kogoś, wyszła czarna dusza

I w ciebie przeszła, kiedyś jeszcze leżał

W bezecnem łonie matki: wilcze bowiem

Są twoje żądze, krwawe i drapieżne.

SZAJLOK.

Póki nie zdołasz swymi wykrzykami

Zatrzeć podpisu w skrypcie, poty nimi

Daremnie sobie płuca tylko psujesz.

Wzmocnij podpórką swój dowcip, mój panie,

Bo się obali. Stoim wobec sądu.

DOŻA.

Poleca nam tu Bellaryo jakiegoś

Bardzo biegłego, młodego doktora.

Gdzież on jest?

NERYSSA.

Czeka w poblizkości, panie,

Rychłoli raczysz mu dozwolić wstępu.

DOŻA.

Niech dwóch z was pójdzie natychmiast po niego

I jak najgrzeczniej wwiedzie go do sali:

PISARZ tymczasem przeczyta sądowi Pismo Bellarya.

PISARZ czyta.

"Waszej Wysokości pośpieszam oznajmić, że list jej zastał mię złożonego ciężką niemocą; ale w chwili przybycia jej posłańca miałem właśnie gościem a siebie młodego doktora z Rzymu, nazwiskiem Baltazara. Wyłuszczyłem mu całą treść sporu między żydem a kupcem Antoniem; przewertowaliśmy z sobą ksiąg niemało; wynurzyłem mu moje zdanie, które on, uzupełniwszy własnym światłem (przechodzącem wszelką pochwałę) na moją prośbę podjął się w sądzie otworzyć, dla uczynienia zadość Waszej Wysokości, w mojem zastępstwie. Upraszam jak najmocniej, ażeby brak lat nie stał się dlań powodem

braku należnego poszanowania, bom jeszcze nie znał tak starej głowy przy tak młodem ciele.
Poruczam

go łaskawym względem Waszej Wysokości: on sam

zresztą najlepiej się zaleci."

DOŻA.

Słyszycie, co nam ten świątły mąż pisze"

A oto, zda mi się i sam ów doktor.

Wchodzi PORCYA przebrana za jurystę;

Podaj mi waćpan rękę; od Bellarya

Jesteś przysłany?

PORCYA.

Nie inaczej, panie;

Od niego.

DOŻA.

Witaj nam i zajmij miejsce:

Jestżeś pan świadom nieporozumienia,

Jakie obecnie sąd nasz ma rozstrzygać?

PORCYA.

Dokładnie jestem poinformowany

O całej sprawie. Gdzie tu jest ów kupiec

I ów żyd?

DOŻA.

Zbliż się, Antonio, Szajloku.

PORCYA.

Nazwisko wasze Szajlok?

SZAJLOK.

Szajlok zwę się.

PORCYA.

Dziwnej natury jest wasze powództwo;

Lecz w takiej formie, że weneckie prawa

W niczem ci stawić zarzutu nie mogą.

Do Antonia.

Wyżto jesteście przezeń zagrożeni?

Tak, czy nie?

ANTONIO.

Tak jest, sądząc z jego mowy.

PORCYA.

Czy oblig za swój uznajecie?

ANTONIO.

Tak jest.

PORCYA.

Trzeba więc, aby Szajlok był łaskawym.

SZAJLOK.

Co mię do tego znagli, chciałbym wiedzieć?

PORCYA.

Łaska nic nie ma wspólnego z przymusem,

Jak deszcz ożywczy z nieba spływa ona

Z swych wysokości na ziemię; podwakroć

Błogosławiona: błogosławi bowiem

Tego, co daje i tego, co bierze.

Tem potężniejsza, im z potężniejszego

Płynie ramienia, przyozdabia ona

Władcę na tronie bardziej niż korona.

Berło oznacza moc światowej władzy:

Jest ono godłem czci i majestatu,

W którym ukryty postrach winnych siedzi;

Lecz łaska wyższą jest nad rządy berła,

Zajmuje ona tron w sercu monarchy,

Wzniosłym udziałem jest samego Bóstwa;

I ziemską wsadza najbardziej się wtedy

Zbliża do boskiej, gdy jej łaska idzie

Z sprawiedliwością w parze. Zważ więc, żydzie,

Skoro domagasz się sprawiedliwości,

Ze sprawiedliwie rzeczy biorąc, nikt z nas

Nie byłby zbawion. Modlim się o łaskę;

Ta więc modlitwa powinna nas uczyć

Świadczenia łaski. Rozwiodłem się tyle,

By sprawiedliwość żądań twych złagodzić;

Trwaćli w nich będziesz, surowa ta izba

Będzie musiała naturalnie wydać

Wyrok na stronę kupca niekorzystny.

SZAJLOK.

Za czyny moje sam odpowiem. Żądam

Uznania słusznych praw moich i kary

W obliżu zastrzeżonej.

PORCYA.

Czy Antonio

Nie jest w możności spłacenia waluty?

BASSANIO.

I owszem: kładłem mu ją tu przed sądem,

W dwójnasób nawet; jeśli to za mało,

Zobowiązałem się wyliczyć sumę

Dziesiętkroć większą i w zastaw dać rękę,

Głowę i serce. Gdy mu i to niedość,

Najoczywistszy stąd wypływa dowód,

Że złość przeważa w nim nawet interes.

O, mój doktorze, zaklinam cię, nagnij

Jako tam prawo: wyrządź małą krzywdę,

Aby wykonać wielki czyn słuszości,

I ujmij w kluby wolę tego dyabła.

PORCYA.

To być nie może: żadna moc w Wenecyi

Nie zdoła zmienić ustaw istniejących;

Posłużyłoby to za prejudykat

I błąd niejeden wkradłby się do państwa

Za tym przykładem. Nie: to być nie może.

SZAJLOK.

Daniel to przyszedł sądzić, istny Daniel!

Jakże cię wielbię, mądry, młody sędzio!

PORCYA.

Proszę, pozwólcie mi przejrzeć ten oblig.

SZAJLOK.

Oto jest, oto jest, zacny doktorze.

PORCYA.

Szajloku, dając w trójnasób walutę.

SZAJLOK.

Przysięgam, panie doktorze, przysięgam;

Przysięga moja zapisana w niebie:

Mamże samochcąc duszę mą obciążać

Krzywoprzysięstwem? Za całą Wenecję

Nie zrobię tego.

PORCYA.

Hm! termin chybiony,

Prawnie więc może się na mocy tego

Szajlok domagać wolności wyrznięcia

Temu kupcowi funta ciała w miejscu

Serca poblizkiem. Bądźże miłosierny!

Przyjmij w trójnasób należną ci sumę;

Pozwól mi zniszczyć ten oblig.

SZAJLOK.

Jeżeli

Będzie spleacony wedle brzmienia swego.

Jesteście, panie, pełnym szlachetności,

To rzecz widoczna; znacie biegle prawo;

Indukcya wasza była arcytrafna:

Wzywam was przeto w imię tego prawa,

Którego chlubnym jesteście filarem,

Byście swe zdanie wynurzyli. Klnę się

Na duszę moją, że żaden głos ludzki

Nie zdoła wymódz na mnie ustąpienia:

Obstaję przy tem, co stoi w obligu.

ANTONIO.

Racz, sędzie, wydać wyrok; proszę o to.

PORCYA.

Waćpanu zatem pozostaje tylko

Bok swój pod cięcie noża przygotować.

SZAJLOK.

O, godny sędzio! O, walny młodzieńcze!

PORCYA.

Myśl bowiem prawa i brzmienie zostaje

W zupełnej zgodzie z karą, jakiej wedle

Tego obliżu wypada ci uledz.

SZAJLOK.

Słusznie? o, mądry i sumienny sędzio!

Jak wiele starszym jesteś, niż wyglądasz.

PORCYA.

Dlatego obnaż bok.

SZAJLOK.

Pierś, mości sędziowi

Tak mówi obliż — nieprawdaż, cny sędzio ?

Tuż obok serca — Wyraźnie tam stoi.

PORCYA.

W istocie, stoi tak. Sąż tu gdzie szale

Do odważenia mięsa?

SZAJLOK.

Mam je z sobą.

PORCYA.

Sprowadź, Szajloku, na swój koszt felczera,

Aby zapobiegł ujściu krwi.

SZAJLOK.

Felczera?

Czy jest w obliżu o tem jaka wzmianka?

PORCYA.

Niema jej wprawdzie, ale cóż to znaczy?

Przez ludzkość byś to uczynić powinien.

SZAJLOK.

Gdzie jej tam szukać; nie ma jej w obliżu.

PORCYA.

Kupcze, masz waćpan co do powiedzenia?

ANTONIO.

Mało co; jestem już zrezygnowany

I w pogotowiu. Daj rękę, Bassanio;

Bądź zdrow! nie smuć się, że mię to spotyka

Z twojej przyczyny, bo los się tym razem

Bardziej uprzejmym, niż zwykły, okazuje.

Zawsze on prawie każe podupadłym

Przeżyć swe mienie; z zapadłymi oczyma,

Z czołem zmarszczkami pooranem patrzeć

Na nędzną starość; mnie on od ciężaru

Tej długotrwałej uwalnia pokuty.

Poleć mię swojej szanownej małżonce;

Skreśl jej ostatnie moje chwile; powiedz,

Jak cię kochałem; wspomnij o mnie dobrze:

A gdy jej wszystko powiesz, niech osądzi,

Czyś nie miał kogoś, co cię szczerze kochał.

Nie żałuj, że masz stracić przyjaciela,

I jemu nie żal, że dług za cię płaci:

Bo niech żyd tylko trochę głębiej weźmie,

Natychmiast całym zapłacę go sercem.

BASSANIO.

Antonio, jestem małżonkiem kobiety.

Która mi drogą jest jak życie; ale

Życie i żona i świat cały nie ma

Wyższej w mych oczach ceny niż twe życie.

Wszystkobył oddał, wszystkiego się wyrzekł,

Aby cię wyrwać z rąk tego szatana.

PORCYA.

Żona waćpana nie bardzo by pewnie

Była mu wdzięczna za tę abnegację,

Gdyby tu była obecna.

GRACYANO.

Mam żonę,

Którą, na honor, kocham niepoślednio:

Radbym atoli, żeby była w niebie.

Boby tam przecie mogła jakoś wpłynąć

Na umysł tego psubratniego żyda.

NERYSSA.

Dobrze pan czynisz, że tę chęć wynurzasz

Za jej oczyma" boby ten jej objaw

Łatwo domowy pokój mógł zakłócić.

SZAJLOK *do siebie.*

Tacy to ci mężowie chrześcijańscy!

Wolałbym, żeby mężem mojej córki

Był kto z plemienia Barabaszowego,

Nie chrześcijanin.

Głośno.

Czas upływa: proszę

O ostateczne wydanie wyroku.

PORCYA.

Funt mięsa tego kupca jest twą własnością;

Sąd go przysądza, prawo ci przyznaje.

SZAJLOK.

O, sędzio, pełen prawości!

PORCYA.

Masz wolność

Wykrojenia mu tego mięsa z piersi;

Prawo przyznaje, sąd ci to przysądza,

SZAJLOK.

O, świątły sędzio! — Pójdź: wyrok wydany.

PORCYA.

Zaczekaj: jest tu jeszcze jedna kwestya:

W skrypcie tym niema o krwi ani wzmianki.

Jak najwyraźniej w nim stoi: funt mięsa;

Weźże ty skrypt swój, a ty swój funt mięsa:

Jeżeli jednak różnąc takowe, żydzie,

Krwi chrześcijańskiej choć kroplę przelejesz,

Wszelkie twe mienie, wedle praw weneckich,

Skonfiskowane będzie na rzecz państwa.

GRACYANO.

O, sprawiedliwy sędzio! — Słyszysz, żydzie?

O, mądry sędzio!

SZAJLOK.

Czy prawo tak mówi?

PORCYA.

Mogę ci zaraz pokazać artykuł.

Skoro ci idzie tak o sprawiedliwość,

To sprawiedliwość będzie wymierzona

Bardziej, niż sobie tego życzysz nawet.

GRACYANO.

O, świątły sędzio! To mi świątły sędzia!

Nieprawdaż, żydzie?

SZAJLOK.

Ny, to już przestaję

Na gotowiźnie: wyliczcie mi tylko

Sumę w trójnasób, a skwituję kupca.

BASSANIO.

Oto pieniądze.

PORCYA.

Zaraz, nie tak skoro!

Trzeba żydowi temu sprawiedliwość

Ściśle wymierzyć: dostanie jedynie

Sztrof przynależny, nic więcej.

GRACYANO.

O, żydzie!

Co to za prawy, co za światły sędzia!

PORCYA. Gotuj się zatem rznąć mięso: nie przelej

Krwi ani kropli; pomnij też nie wyrznać

Ani mniej, ani więcej niż funt spełna;

Bo gdybyś wyróżnął mniej lub więcej trochę,

Niż funt okrągły, gdyby niedowyzka

Albo przewyzka miała, ściśle biorąc,

Być o dwudziestą część skrupułu lżejsza.

Lub cięższą; gdyby się różniły szale

Chociażby tylko o szerokość włosa:

Umrzesz, i mienie twe pójdzie w sekwester.

GRACYANO.

To drugi Daniel, żydzie! istny Daniel!

Ha, poganinie, trzymamy cię w garści.

PORCYA.

Cóż go wstrzymuje? Bierżże swój sztrof, żydzie.

SZAJLOK.

Zwróćcie walutę i dajcie mi pokój.

PORCYA.

Zrzekłeś się onej w obec sądu, zaczem

Otrzymaś tylko sztrof prawie należny.

GRACYANO.

Daniel to! drugi Daniel! istny Daniel!

Jakże ci za to jestem wdzięczny, żydzie,

Że mię wyrazu tego nauczyłeś!

SZAJLOK.

Jakto? nie będęż miał nawet waluty?

PORCYA.

Będziesz miał tylko sztrof należny z prawa,

Który wziąć możesz na własne ryzyko.

SZAJLOK.

Niechże się dyabli z nim prawują! Nie mam

Tu czego czekać.

PORCYA.

Czekaj, żydzie: prawo

Ma jeszcze inny z tobą porachunek.

Jest powiedziane w weneckich ustawach,

Że gdyby kiedy było dowiedzionem

Cudzoziemcowi, że wprost lub ubocznie

Godził na życie którego krajowca,

Naówczas strona, przeciw której działał,

Ma w posiadanie otrzymać połowę

Jego fortuny; druga jej połowa

Na skarb przechodzi, życie zaś winnego

Zależć będzie jedynie od łaski

Samego doży. W kategorii takiej

Ty właśnie jestoś: widno bowiem jawnie

Z tego, co zaszło, żeś uboczną drogą

I wprost nastawał na życie Antonia;

Za co ulegasz rygorowi prawa,

Świeżo przezemnie zacytowanemu.

Drżyj więc lub Doży proś o przebaczenie.

GRACYANO.

Proś, by ci wolno było się powiesić,

Ponieważ jednak całą twą chudobę

Skarb ma zagarnąć, zabraknie ci nawet

Potrzebnej kwoty na kupienie stryczka:

Będziesz więc na koszt państwa powieszony

DOŻA.

Abyś naszego sposobu myślenia

Różnicę poznał, daruję ci życie

Pierwej, niżeli o to poprosiłeś.

Połowę dóbr twych posiędzie Antonio,

Druga połowa przejdzie na skarb państwa:

Którą to karę wszelako pokora

Złagodzić może i zmienić na grzywny.

PORCYA.

Tak, co do państwa, nie co do Antonia.

SZAJLOK.

Weźcie mi życie, nie szcędźcie go takie!

Co mi po domu, gdy stracę podpore .

Utrzymującą go? Co mi po życiu,

Gdy stracę środki utrzymania życia?

PORCYA.

Antonio, cóżbyś mógł dla niego zrobić?

ANTONIO.

Jeśli się pan nasz i sąd zgodzi przyjąć

Grzywny, za jedną jego dóbr połowę,

Dla mnie dość będzie, skoro mi dozwoli

Drugą połowę tak rozrządzić, iżby

Po jego śmierci przypadła na własność

Temu młodemu Wenecyaninowi,

Który mu świeżo wykradł córkę. Wszakże.

Wkładam na niego przytem dwa warunki:

Najpierw: ażeby za to dobrodziejstwo

Bez ociągania chrzest przyjął; powtóre:

Aby uczynił tu przed sądem prawny

Akt darowizny wszystkiego, co tylko

Posiadać będzie po najdłuższem życiu,

Na rzecz swej córki i syna Lorenca.

DOŻA.

Będzie on musiał to zrobić, inaczej

Odwołam świeżo wyrzeczoną łaskę.

PORCYA.

Cóż, żydzie? nie maszli nic przeciw temu?

SZAJLOK.

Nie mam.

PORCYA.

Pisarzu, spisz akt darowizny.

SZAJLOK.

Pozwólcie mi się stąd oddalić, proszę:

Słabo mi, w domu akt podpiszę.

DOŻA.

Idźże,

Ale pamiętaj nie wzbraniać się potem.

GRACYANO.

Dwóch chrzestnych ojców będziesz miał przy chrzcinach:

Dziesięciu miałbyś, gdybym ja był sędzią,

A ci byliby cię poprowadzili

Nie do chrztu, ale wprost na szubienicę.

Wychodzi SZAJLOK.

DOŻA.

Proszę waćpana przyjść do mnie na obiad.

PORCYA.

Pokornie proszę Waszej Wysokości

O przebaczenie: zniewolony jestem

Tej jeszcze nocy powrócić do Padwy,

Trzeba mi przeto zaraz się wybierać.

DOŻA.

Przykro mi, że masz waćpan tę przeszkodę.

Antonio, okaż wdzięczność temu panu:

Zaprawdę bowiem, wiele mu winieneś.

Wychodzą: DOŻA, senatorowie i inni komparsowie.

BASSANIO.

Szanowny panie, ja i mój przyjaciel

Uniknęliśmy dzięki twej mądrości

Ciężkiego przejścia; w zawdzięczeniu czego

Ofiarujemy ci te trzy tysiące

Czerwonych złotych należne żydowi

W zamian za twoje tak życzliwe trudy.

ANTONIO.

I pozostajem prócz tego na zawsze

W sercu i w czynie twymi dłużnikami.

PORCYA.

Kto rad jest, ten jest dobrze zapłacony;

Ja z ocalenia waszego rad jestem,

Sądzę się przeto dobrze zapłaconym.

Nigdy mych usług nie wynajmowałem.

Bądźmy dobrymi przyjaciółmi, proszę:

Życzę wam dobrze i z tem zapewnieniem

Żegnam was.

BASSANIO.

Muszę moją natarczywość

Powtórzyć: zacny doktorze, przyjm chociaż

Jaką pamiątkę, jaką dań, nie jako

Wynagrodzenie. Wyświadcz mi dwie łaski:

Jedną, abyś mi tego nie odmawiał,

Drugą, abyś mi tego nie miał za złe.

PORCYA.

Tak pan nalegasz, że muszę ustąpić.

Dajże mi swoje rękawiczki w zakład

Dobie] pamięci; w zakład zaś przyjaźni

Daj mi ten pierścień. Nie usuwaj ręki;

Niczego więcej nie pragnę i tuszę,

Że mi twa przyjaźń tego nie odmówi.

BASSANIO.

Ten pierścień, panie, ach to taka fraszka!

Wstydby mi było wam go ofiarować.

PORCYA.

Niczego nie chcę krom tego pierścienia;

Zda mi się nawet, że go mocno pragnę.

BASSANIO.

Pierścień ten więcej, niż wart, jest mi drogi,

Dam wam najdroższy, jaki jest w Wenecyi,

I przez publiczny anons go wynajdę:

Wybaczcie, z tym się nie mogę rozłączyć.

PORCYA.

Jesteś pan, widzę, szczodry w słowach: najpierw

Mię nauczyłeś, jak to trzeba prosić,

A teraz, zdaje się, chcesz mię nauczyć,

Jakto się daje odpowiedź żebrakom.

BASSANIO.

Pierścień ten dała rai żona, łaskawco;

Sama wsadziła i kazała przysiąc,

Że go nie zgubię i nie dam nikomu.

PORCYA. Takie wymówki bardzo są dogodne

Tym, co w dawaniu datków są oszczędni.

Jeżeli żona pańska ma rozsądek,

To wiedząc, jakim wart tego pierścienia,

Nie długoby się za danie mi jego

Na was gniewała. Ale niniejsza o to,

Pokój niech będzie z wami!

Wychodzi z NERYSSĄ.

ANTONIO.

Ejże, Bassanio, daruj mu ten pierścień;

Niech moja przyjaźń i jego przysługa

Przeważą zakaz twojej żony.

BASSANIO.

Gracyano,

Pobiegnij, dokoń go, daj mu ten pierścień,

I sprowadź go do mieszkania Antonia,

Jeśli potrafisz go namówić: spiesz się.

Wychodzi Gracyano.

I my też idźmy; wypocznij dziś sobie,

A jutro, skoro świt, ruszmy do Belmont.

Wychodzą.

Scena druga.

Tamże. Ulica.

Wchodzą: Porcya i Neryssa.

PORCYA.

Wywiedz się o mieszkaniu tego żyda,

I każ mu akt ten podpisać. Wyjedziem

Tej jeszcze nocy, aby o dzień jeden

Uprzedzić powrót naszych panów mężów.

Lorenzo będzie kontent z tego aktu.

Wchodzi Gracyano.

GRACYANO.

Cieszę się, panie, żeś was jeszcze zdybał.

Signor Bassanio, lepiej rzecz zważywszy,

Przesyła wam ten pierścień i zaprasza

Was na obiadek.

PORCYA.

Nie mogę mu służyć.

Pierścień przyjmuję z największą wdzięcznością;

Chciej mu to pan oznajmić i bądź łaskaw

Temu młodemu człowiekowi wskazać

Mieszkanie żyda Szajloka.

GRACYANO.

Najchętniej,

NERYSSA *do Porcyi.*

Mam jeszcze panu coś do powiedzenia.

Po cichu.

Zobaczę, czy mi nie uda się także

Od mego męża wyłudzić obrączki,

Które na wieki przysiągł mi zachować.

PORCYA.

Że ci się uda, ręczę. Tożto będzie

Dopiero zakłęć szumnych i ognistych,

Ze te pierścionki przeszły do rąk mężczyzn;

Ale my fałsz im zadamy dowodnie.

Idź, a pospieszaj: wiesz, gdzie się zejść mamy.

NERYSSA.

Bądź pan tak grzeczny pokazać mi drogę.

Wychodzą.

AKT PIĄTY.

Scena pierwsza.

Belmont. Aleja przed pałacem Porcyi.

LORENCO i JESSYKA.

LORENCO.

Jak śliczny księżyc! W takąto noc jasną,

Gdy luby wietrzyk zlekka liść całował,

Nie czyniąc szumu, w takąto noc pewnie

Troilus niegdyś stał na murach Troi,

I duszę swoją w westchnieniach posyłał

Ku obozowi Greków, gdzie Kressyda

We śnie leżała.

JESSYKA.

W takąo noc Tisbe

Lękliwą stopą otrząsała rosę;

I cień lwe widząc miasto lwa samego,

Z trwogą pierzchała.

LORENCO.

W takąo noc ongi

Stała Dydona na dzikim wybrzeżu,

Z gałązką w ręku i znak nią dawała

Ulubieńcowi, aby wrócił nazad

Do Kartaginy.

JESSYKA.

W takąo noc także

Medea rwała czarodziejskie zioła,

Które staremu Ezonowi miały

Przywrócić młodość.

LORENCO.

W takąo noc uszła

Jessyka z domu bogatego żyda,

I z jednym chłystkiem umknęła z Wenecyi

Aż tu do Belmont.

JESSYKA.

W takąo noc młody,

Czuły Lorenzo przysięgał jej miłość,

I podszedł proste jej serce mnogiem

Zapewnieniami, z których ani jedno

Nie było szczerem.

LORENCO.

W takąo noc młoda,

Sliczna Jessyka małe nic dobrego,

Rzucała potwarz na swego kochanka,

Który jej jednak potwarz tę przebaczył.

JESSYKA

Radabym z tobą tak całą noc gwarzyć,

Gdyby nikt naszej nie przerwał swobody,

Ale, czy słyszysz? ktoś tu idzie.

Wchodzi STEFANO.

LORENCO.

Któżto śmie mieszać spokój tej późnej godziny?

STEFANO.

Swój.

LORENCO

Swój ? co za swój ? jak się zowiesz, swoju?

STEFANO.

Zwę się STEFANO i przychodzę z wieścią,

Że nasza pani powraca do Belmont

Przededniem jeszcze. Co chwila przystaje

Przy świętych krzyżach, klęka i zanosi

Modły o szczęście w swym świeżo zawartym

Małżeńskim związku.

LORENCO.

Czy z nią kto przyjeżdża?

STEFANO.

Jej panna tylko i jakiś tam święty.

Ale powiedzcie mi, czy nasz pan wrócił?

LORENCO.

Nie wrócił i nic o nim nie słyszałem.

Dalej Jessyko, trzeba nam się zająć

Przygotowaniem do uroczystego

Przyjęcia pani tego domu. Idźmy.

Wchodzi LANCELOT.

LANCELOT.

Hola! hej! hop! hop! holala!

LORENCO.

Któżto tak wrzeszczy?

LANCELOT.

Hola! Nic widzieliście gdzie pana Lorenca i pani Lorencowej! Holala!

LORENCO.

Nie holuj tak, krzykało; jestem tu.

LANCELOT.

Hola! gdzie? gdzie?

LORENCO.

Tu.

LANCELOT.

Powiedzcie mu, że sztofada przyszła od naszego pana, z pełną torbą nowin. Nasz pan będzie tu równo ze dniem.

Wychodzi.

LORENCO.

Pójdź, luba, w domu czekać na nich będziem.

Ale dlaczegożby koniecznie w domu?

Mości Stefano, proszę cię, idź służbie

Oznajmić blizki przyjazd naszej pani

I muzykantom każ tu przyjść.

Wychodzi Stefano.

Jak wdzięcznie

Na tym pagórku śpi światło miesiąca!

Siądźmy tu sobie i niech wdzięk muzyki

Płynie nam w ucho: noc i nocna cisza

Godzą się z słodkim urokiem harmonii.

Usiądź, Jessyko; patrz, jak przestwóć nieba

Gęsto w złociste gwiazdki jest utkany,

A każdy krążek z tych, które tam widzisz,

Bieg odbywając, dołącza pieśń swoją

Do chóru jasnookich cherubinów.

Tak są harmonii pełne czyste duchy:

Tylko my, których duch jest powinięty

W skorupę prochu, słyszeć jej nie mozem.

Wchodzą muzykanci.

Zbliżcie się! zbudźcie śpiewnym hymnem Dyane,

Wyślijcie naprzód na spotkanie pani

Echo najbardziej melodyjnych tonów

I przyciągnijcie ją nimi do domu.

Muzyka.

JESSYKA.

Ileć raz słodką muzykę usłyszę,

Rzewnie mi jakoś.

LORENCO.

Bo władze twej duszy

Są, widać, wtedy pilnie natężone.

Popatrz na dziką i swawolną trzodę

Albo na stado młodych bystrych źrebców;

Brykają one, beczą i rżą głośno,

Bo to w naturze jest ich krwi gorącej;

Lecz niechno trąbka przypadkowo zabrzmie,

Lub jakikolwiek muzyczny odgłos

Słuch ich uderzy, zobaczysz, jak nagle

Wszystkie przystaną, jak się ich figlarne

Oko zaduma, pod wpływem czarownej

Potęgi dźwięków.

Stądto poeci mówią, że Orfeusz

Pociągał drzewa, kamieni i fale;

Bo niema rzeczy tak martwej, tak twarde]

I tak burzliwej, żeby jej natury

Muzyka zmienić chwilowo nic mogła.

Człowiek, harmonii nie mający w sobie,

Którego współdźwięk tonów nic porusza,

Zdolny jest zdradzić cię, oszukać, złupić.

Umysł u niego ciężki jak mgła nocna,

A serce czarne jak Erebus. Nie ufaj

Nikom z takich. — Słuchajmy muzyki.

PORCYA i NERYSSA ukazują się w oddaleniu.

PORCYA.

Owo światełko gore w mojej sali;

Jak się daleko promieni, choć małe!

Tak świeci dobry czyn w świecie zepsutym.

NERYSSA.

Nie widziałyśmy wprzód tego światełka,

Gdy miesiąc świecił.

PORCYA.

Tak zwykle blask większy

Zaciera mniejszy. Namiestnik jaśniej

Jak król, dopóki król się nie ukaże;

Wtedy ubywa mu okazałości,

Jak strumieniowi, gdy z wyżyny spływa

W wielkie wód łóże. Muzyka! Czy słyszysz?

NERYSSA.

To nasza, pani, domowa kapela.

PORCYA.

Nic nie jest pięknem bezwzględnie, jak widzę

Milej mi ona brzmi teraz niż za dnia.

NERYSSA.

Cisza to, pani, dodaje jej wdzięku.

PORCYA

Wrona tak dobrze śpiewa jak skowronek,

Kiedy się na nich nie zważa; i sądzę,

Że gdyby słowik w dzień śpiewał, gdy wszystkie

Gęsi gęgają, nie większą od szpaka

Pewnieby wtedy miał sławę śpiewaka.

Iluzto rzeczom czas tylko stosowny

Nadaje wziętość i przymiot szacowny!

Ale pst! Luna śni przy Endymionie,

I nie radaby zostać przebudzoną.

Muzyka milknie.

LORENCO.

Jeśli mię wszystko na świecie nie zwodzi,

Głos to signory Porcyi.

PORCYA.

Ten pocziwiec

Zna mię po głosie, jak ślepy kukawkę.

LORENCO.

Witajże, witaj nam, łaskawa pani!

PORCYA.

Namodliłyśmy się za naszych mężów,

Mości Lorenzo, i mamy nadzieję,

Że nasze modły były skutecznymi.

Czy już wrócili?

LORENCO.

Dotychczas nie jeszcze,

Ale posłaniec przybył z oznajmieniem,

Że wkrótce będą.

PORCYA.

Nerysso, idź moim

Ludziom zalecić, aby nie dawali

Po niczem zgoła poznać, żeśmy z domu

Się oddalały. — Lorenzo, Jessyko,

Proszę was także zachować milczenie.

Słyszeć trąbkę.

LORENCO.

Mąż pani jedzie, słyszę odgłos trąbki.

Umiemy trzymać język za zębami:

Nie bój się, pani.

PORCYA.

Noc ta zdaje mi się

Dniem, tylko bladym i zamglonym: jestto

Jakby dzień, w którym słońce jest zakryte.

BASSANIO, ANTONIO i GRACYANO wchodzą ze swymi orszakami.

BASSANIO.

Z antypodami byśmy jednocześnie

Mieli dzień, gdybyś ty świeciła wtedy,

Gdy słońce znika.

PORCYA.

Niechbym nie świeciła,

A w czynach moich nie bała się światła!

Witaj z powrotem, mój małżonku!

BASSANIO.

Witaj

Najukochańsza! Oto mój przyjaciel:

Ten sam Antonio, któremu tak wiele

Obowiązany jestem.

PORCYA.

Powinienbyś

Obowiązany mu być nieskończenie;

Bo on za ciebie przyjął, jak słyszałam,

Zobowiązania bardzo wielkie.

ANTONIO.

Które

Spełna zostały mu skompenzowane.

PORCYA.

Panie Antonio, jesteś w naszym domu,

Zaprawdę, nader pożądanym gościem;

Czyny pokażą to lepiej niż słowa:

Dlatego skracam tę ustną serdeczność.

GRACYANO do NERYSSY.

Przysięgam na ten księżyc, żem niewinny,

Jak żyw tu stoję; dałem go, kochanko,

Dependentowi tego adwokata.

Niechby ten młokos eunuchem został,

Gdy tak się zżymasz o to, że go dostał.

PORCYA.

Jakto? Już kłótnia? O cóżto rzecz idzie?

GRACYANO.

O złote kółko, o bzdurny pierścionek,

Który mi dała; na którym był napis

Tak dobry dla mnie, jak kogoś drugiego,

Madrygał: "Kochaj mnie i nie opuszczaj!"

NERYSSA.

Nie idzie tu o napis, ni o wartość:

Przysięgłeś waćpan, gdym ci go dawała,

Że go do śmierci nosić nie przestaniesz,

Że go ze sobą zabierzesz do grobu;

Jeśli nie przez wzgląd na mnie, to przynajmniej

Przez wzgląd na swoje ogniste przysięgi,

Trzeba ci było lepiej go szanować.

Dependentowi! Wiem aż nadto dobrze,

Że ten dependent, coś mu go dał waćpan,

Nigdy nie będzie miał na brodzie włosów.

GRACYANO.

Będzie miał, skoro do lat męskich dojdzie

NERYSSA.

Jeśli kobieta dojdzie do lat męskich.

GRACYANO.

Na honor, dałem go młodemu chłopcu,

Nedorostkowi, smarkaczowi, właśnie

Twojego wzrostu, chłopcu adwokata.

Ten chłystek tak się go napał w nagrodę,

Że niepodobna mu było odmówić.

PORCYA.

Żleś waćpan zrobił, szczerze wyznać muszę,

Żeś się tak płocho rozłączył z najpierwszym

Darem twej żony; z upominkiem, który

Ślub na twym palcu umieścił, a wiara

Powinna była doń przykuć na zawsze.

I jam mężowi memu dała pierścień,

I odebrałam od niego przysięgę,

Że się z nim nigdy nie rozstanie. Jakoż,

Tu wobec niego śmiało mogę ręczyć,

Żeby go nie zdjął, ani spuścił z palca,

Za wszystkie skarby świata. W rzeczy samej,

Mości Gracyano, dałeś swojej żonie

Powód do żalu bardzo wielki. Gdyby

Mnie to spotkało, tobym oszalała.

BASSANIO do siebie.

Gotówbym sobie urznąć lewą rękę,

I przysiędz, żem ten pierścień w walce stracił.

GRACYANO.

Signor Bassanio darował swój pierścień

Adwokatowi, który o takowy

Prosił go i w istocie nań zasłużył;

A jego piszczyk, dependent, za swoją

Pracę w pisaniu, zażądał mojego;

Tak zaś pryncypał, jak jego subaltern,

Nie chcieli przyjąć niczego innego

W dank swoich usług jak te dwa pierścionki.

PORCYA.

Jakiżto pierścień dałeś mu, mój mężu?

Przecież nie tamten, coś go miał odemnie?

BASSANIO.

Gdybym mógł kłamstwo dodawać do winy,

Tobyrn zaprzeczył temu; ale sama

Widzisz, o pani, brak tego pierścienia

Na moim palcu.

PORCYA.

Taki sam brak wiary

Jest w twojem sercu fałszywem. Na honor!

Nie prędzej usta me dotkną się twoich,

Aż znów ten pierścień zobaczę.

NERYSSA do GRACYANA.

I twoje

Moich nie prędzej, aż mój ujrzę znowu.

BASSANIO.

Najdroższa żono! Porcyo ukochana!

Gdybyś wiedziała, komum dał ten pierścień,

Gdybyś zważyła, za com dał ten pierścień,

Znała żal, jakim czuł dając ten pierścień,

Gdy nic nie chciano wziąć tylko ten pierścień:

Zmiękłby niechybnie hart twojego gniewu.

PORCYA.

A gdybyś waćpan był cenił ten pierścień,

I tę, coc dała ten pierścień, i własny

Honor swój, z którym był w związku ten pierścień,

Nie byłby był z twych rąk wyszedł ten pierścień.

Któż mógł być tyle niewyrozumiałym,

Niedelikatnym, iżby go koniecznie

Był żądał, gdybyś pan trochę żarliwiej,

Stanowczej stanął był w jego obronie,

Mieniać go świętą pamiątką? Neryssa

Mię naprowadza, co mam o tem sądzić:

O śmierć mię to przyprawi, bo niechybnie

Pierścień ten dostał się do rąk kobiety.

BASSANIO.

Na honor, pani, na zbawienie duszy!

Ręczę ci, że go nie dałem kobiecie,

Ale pewnemu doktorowi prawa,

Który ofiarowany mu przezemnie

Dar trzech tysięcy dukatów odrzucił

I pragnął tylko dotrzymać ten pierścień.

Odmówiłem mu tego i ścierpiałem,

Że się oddalił niezadowolony,

On, co ocalił dni drogiemu memu

Przyjacielowi. Cóż ci powiem, pani?

Zmuszony byłem mu go posłać: grzeczność,

A nawet sam wstyd mi to nakazywał;

Honor mój nie mógł spokojnie znieść tego,

Aby go taka plamiła niewdzięczność:

Przebacz mi przeto, najdroższa małżonko!

Bo na te święte tam na niebie światła

Klnę się, że gdybyś tam była obecną,

Byłabyś była sama mi kazała

Dać go zacnemu temu doktorowi.

PORCYA.

Strzeżże się waćpan, by zacny ten doktor

Nigdy do mego domu nie zawitał.

Ponieważ bowiem posiada ów klejnot,

Który lubiłam i który pan gwoli

Miłości mojej przysiągłeś zachować,

Gotowam także być szczodłą dla niego;

Gotowam dać mu wszystko, co posiadam,

A nawet udział w prawach mego męża;

Że go zaś ujrzę, tego jestem pewną,

Nie spędźże waćpan ani jednej nocy

Za domem, czuwaj, pilnuj mię jak Argus:

Bo skoro tego zaniedbasz uczynić,

Skoro mię samą zostawisz, na honor,

Którym dotychczas jeszcze się poszczycam,

Zacny ów doktor spocznie w mych objęciach.

NERYSSA do GRACYANA.

A w mych dependent: bacz więc, jak dalece

Masz mię na własnej zostawić opiece.

GRACYANO.

Nie daj mi jeno zejść się z tą figurą,

Bobym mu zgnieść mógł dependenckie pióro.

ANTONIO.

Jam jest nieszczęsnym powodem tych waśni.

PORCYA.

Niech cię to, panie, bynajmniej nie martwi:

Jesteś dlatego miłym gościem.

BASSANIO.

Przebacz,

Przebacz mi, Porcyo, ten błąd z konieczności;

Wobec zebranych tu przyjaciół naszych

Przysięgam na te twoje śliczne oczy,

W których mój obraz widzę..

PORCYA. Zważcie tylko:

On w moich oczach widzi się dwoście,

W kaźden raz: tak więc bierzesz pan za świadka

Swych zobowiązań swoje ja dwoiste.

To mi przysięga wiarogodna!

BASSANIO.

Ależ

Chciej mię wysłuchać: przebacz mi tę winę,

A na mą duszę! nigdy od tej pory

Uczynionego ci nie złamię ślubu.

ANTONIO.

Dałem był pierwej ciało moje w zakład

Za niego. Gdyby nie ten zacny człowiek,

Któremu mąż twój, pani, dał ów pierścień,

Byłoby po niem było; daję teraz

Duszę mą w zakład i rękę, Że odtąd

Nigdy małżonek twój nie złamie wiary

Z rozmysłem.

PORCYA.

Skoro pan za niego ręczysz,

To chciejże mu dać ten, razem z przestroga,

Aby go lepiej szanował niż pierwszy.

ANTONIO.

Bassanio, przysiąż szanować ten pierścień.

BASSANIO.

Na Boga! ten sam dałem doktorowi.

PORCYA.

A on mnie: przebacz, kochany Bassanio,

Za tento pierścień miał ze mną ów doktor

Słodkie sam na sam.

NERYSSA.

Przebacz mi podobnież,

Luby Gracyano, bo za ten tu spędził

Przeszłą noc ze mną ów smarkacz dependent.

GRACYANO.

To coś wygląda jak szarwarkowanie

Wśród lata, kiedy drogi w dobrym stanie.

Cóż to ? na pierwszy wstęp w hymenu progi

Niezasłużenie przypięto nam rogi?

PORCYA.

Mów waćpan skromniej. — Wszyscyście zdumieni.

Oto list, panie mężu: w wolnym czasie

Przejrzyj go, jest on z Padwy, od Bellarya:

Znajdziesz w nim, że doktorem była Porcya,

A dependentem Neryssa. Lorenzo

Może zaświadczyć, żeśmy zaraz po was

Stąd wyjechały i wróciły nazad

Przed chwilą: jeszcze mię dom mój nie widział

Panie Antonio, mam dla ciebie lepszą,

Niż się spodziewasz, wiadomość w zapasie:

Dowiesz się z tego listu, że trzy twoje

Galery nagle wpłynęły do portu,

Obładowane bogatym pakunkiem:

Nie powiem, panie, jakim trafem list ten

Doszedł do moich rąk.

ANTONIO.

Niemieję.

BASSANIO.

Tyżeś

Była doktorem i jam cię nie poznał?

GRACYANO.

Tyżeś to była tym piszczykiem, który

Ma mi przyprawić rogi?

NERYSSA.

Nie inaczej;

Który jednakże tego nie uczyni,

Aż wtedy, kiedy dojdzie do lat męskich.

BASSANIO.

Musisz mi swoje otworzyć objęcia,

Piękny doktorze, a gdy wyjdę z domu,

Wolno ci miewać sam na sam z mą żoną.

ANTONIO.

Tyś mię, o pani, obdarzyła życiem,

A teraz darzysz tem, z czego żyć mogę;

Bo wyczytuję tu z wszelką pewnością,

Że moje statki przybyły szczęśliwie

I stoją w porcie.

PORCYA.

Teraz na was kolej,

Mości Lorenzo: ma tam mój dependent

I dla was pewien gościniec w kieszeni.

NERYSSA.

I da go bez żądania honorarium.

Oto doręczam wam i waszej żonie

Akt darowizny, którym wam bogaty

Ojciec Jessyki przeznacza legalnie

Po swojej śmierci wszystko, co posiada.

LORENCO.

Boskie niewiasty!

Wy głodnym po drodze

Sypiecie mannę.

PORCYA.

Już dzień prawie, przecież

Jeszcze wam nie dość jasno się przedstawia

Bieg tych wypadków. Wnijdźmy więc do domu;

Tam z nas ściągniecie śledztwo i na wszystko

Protokularną znajdziecie odpowiedź

GRACYANO.

Zgoda. Najpierwszą kwestyą, jaką zadam

Mojej Nerysie, będzie ta, czy woli

Do przyszłej nocy wstrzymać się ze wczasem,

Czy pójść spać zaraz, chociaż dzień za pasem?

Co do mnie, niechby do jutra wieczora

Trwał mrok, gdy będę z piszczykiem doktora;

Bądź jednak pewna, że nie zgrzeszę śpiączką,

Czuwając, luba, nad twoją obrączką.

Przygotowano na podstawie bookini.pl